Cena 40.

Walery takie wychowany pod wpływem francuskim
nie przyjęły tylko to, co było dobre. To co ujemne
w Francji odrzucił podwójnie Stanisław i Izabella.
Ks. Teresa mniej uległa wpływ francuskiego wycho-
wania.
Od Mehera później Józefa Józefa poczęła się stosować
patryarchalnym nie prowadzi i później Józefa
nie spodoba.
Niemcewicz choć wychowany pod wpływem francuskim
nie jest jednostronny i nie należy wyłącznie do fran-
dolaczyków.

DGQ. syu:
222863 II
S. I (2. 18)
287931 II
20
84245 I
Lect.

Akt II Sc V. VI

POWRÓT POSŁA.

KOMEDYA ORYGINALNA

WE TRZECH AKTACH,

wierszem

JULIANA URSYNA NIEMCEWICZA.

WYDANIE

KAZIMIERZA JÓZEFA TUROWSKIEGO.

SANOK.
NAKŁAD I DRUK KAROLA POLLAKA.
1855.

35643

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
w Kielcach

BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA
DUBLET

66205

Wyłączono z zasobu
dubletów Bibl. Jagiell.

Do jaśnie wielmożnego jmci pana Stanisława Nałęcz Małachowskiego marszałka sejmowego konfederacyi koronnej, referendarza koronnego.

Jaśnie wielmożny mości dobrodzieju!

Wpajać w umysły prawidła zdrowe i uczciwe, zachęcać do cnót publicznych i domowych, było pisma mojego celem. Komuż słuszniej poświęcić je mogę, jak temu, który cnotą i stałością swoją publicznego i prywatnego życia stał się przykładem. Kiedy rzeczpospolita była w poniżeniu, wśród powszechnego prawie zepsucia żyjąc nieskazitelnie oczekiwałeś w smutku i tęsknocie powstania jej pory. Opatrzność przywiodła tę chwilę szczęśliwą; wnet serce, umysł, wszystkie duszy twej siły poświęciłeś usłudze publicznej. Trzeci rok jak trzymasz styr obrad naszych; cnotliwe i rzetelne postępowanie twoje zjednało ci ufność najlepszego z królów, zjednało szacunek i wdzięczność wszystkich ludzi poczciwych. Bodajby nieba, czuwające nad losami rzeczypospolitej, dla dobra jej zachowały cię jak najdłużej; bodajby i tobie i tylą rzadkiemi przymiotami obdarzonemu koledze twemu *), dodawały co-

---

*) Kazimierz Sapieha, generał artyleryi litewskiej.

raz nowych sił, ażebyście rozpoczęte dzieło: postawienia rzeczypospolitej rządną, szczęśliwą i poważną, do skutku przywieść mogli. Te są najgorętsze serca mojego życzenia: w szczęściu bowiem ojczyzny mojej i szczęście i chlubę moją zakładam. Jestem z winnem uszanowaniem

jaśnie wielmożnego wmość pana dobrodzieja najniższym sługą. Julian Ursyn Niemcewicz, poseł inflantski.

DO CZYTELNIKA.

Ma to do siebie umysł człowieka, iż łatwiej daleko i uwagę swą zwraca i korzyści odbiera z rzeczy, które pod postacią rozrywki uczą go i bawią; niż z takich, które surowym i nauczycielskim przepowiadane tonem umysł jego bez odpoczynku wysilają i dręczą. Wady ludzkie, w całej swojej wystawione śmieszności, prędzej nie jednego poprawiły; niż czytanie zgłębiających też wady filozoficznych traktatów. Śmieszność najstraszniejszą jest dla miłości własnej bronią; i taka jest bojaźń onej, iż częstokroć ludzie wolą bydź godni nagany, aniżeli śmiechu. Ztąd sztuki teatralne, mając za cel poprawienie obyczajów, za pożyteczne uznane i we wszystkich oświeconych krajach zachęcane były. W kraju wolnym, gdzie każdy obywatel składa cząstkę powszechnego rządu, nie tylko prywatnego życia obyczaje, ale zdrożne względem całości krajowej opinie prostować należy. Jest to rzeczą największej wagi: opinie te — fałszywe, lub prawdziwe, zdrożne lub rozsądne—stanowić będą o szczęściu lub nieszczęściu rzeczypospolitej. Radbym bardzo, żeby dowcipy, pełne zdrowych i rozsądnych prawideł, zatrudniały się tym

widokiem. W piśmie, które na publiczność wydaję, usiłowały życzenia i chęci, ale nieudolność odepchnęła daleko od zamierzonego celu. Pracując około dzieła tego nie miałem na widoku osób, ale wady, przesądy i zdrożne obyczaje, pamiętny zawsze słów sławnego naszego poety *):

Nigdy ja w szczególności nikomu nie łaję,
Czołem biję osobom, ganię obyczaje.

Pewien jestem, że charaktery osób najśmieszniejszych w komedyi mojej, jakiemi są Szarmantcki, starosta i starościna, nieznajdują się zupełnie takie w kraju naszym, lecz trzeba było zebrać znajdować się mogące błędy i śmieszne zwyczaje i umieścić je w jednej osobie, ażeby wady jej tem wydatniejszemi i bijącemi w oczy uczynić, ażeby czytający i patrzący tem więcej nabierali wstrętu od tego, co nie jest dobrem i pożytecznem. Taki był mój zamiar: umysły nieuprzedzone niechaj mię sądzą; przez wzgląd na dobre chęci niech nieudolności przebaczą.

---

*) Naruszewicz, biskup łucki i brzeski litewski.

OSOBY.

PAN PODKOMORZY.
PANI PODKOMORZYNA.
STAROSTA GADULSKI, koligat podkomorzyny.
STAROŚCINA, żona jego w powtórnem małżeństwie.
TERESA, córka starosty z pierwszego małżeństwa, wychowana u podkomorstwa.
WALERY, syn podkomorstwa, amant Teresy.
SZARMANTCKI, kawaler modny zalecający się do Teresy.
AGATKA, pokojowa podkomorzyny.
JAKÓB, lokaj.
KOZAK Szarmantckiego.

Scena na wsi u podkomorstwa.

Suponuje się, że rzecz się odprawia podczas limity przed zebraniem się nowego wyboru posłów na sejm 1790. roku.

AKT PIERWSZY.

Scena I. *Jakób i Agatka.*

Jakób (nakrywając stolik).

Jmość panna Agatka niech się trochę krząta,
Już to będzie podobno godzina dziesiąta;
Śniadanie czy gotowe?

Agatka.

Od samego ranka
Kłucę się; zwarzyła się dwa razy śmietanka.

Jakób.

Żal mi ciebie Agatko....jakże się masz, zdrowa?

Agatka.

Dziękuję ci; herbata i kawa gotowa,
Lecz cóż—jmość spi, pan się dopiero przebudził.

Jakób.

Pan Starosta ich wczoraj tak do późna nudził:
Jak zaczął to o sejmie, to o wojnach bajać,
Ze wszystkimi się sprzeczać, wszystkich kłócić, łajać,
Gęba się nie zamknęła przez całą wieczerzę;
Powywracał butelki, szklanki i talerze;
Naostatek, chociaż mu nikt nie odpowiadał,
On jednak, zapyrzony, jak gadał, tak gadał,
I dopiero — jak postrzegł, że już wszyscy spali,

Że świece gasły — przecież mrucząc wyszedł z sali,
I na schodach dokończył ostatka swej mowy;
Prawdziwyż to gaduła!

Agatka.

Potrzeba zajść w głowy
Z takiemi natrętami — czyli boska kara!
Prawda, że się wybornie dobrała ta para,
Bo i żona starosty przednia w swym gatunku,
Wszystkich ztrudziła, wzdycha w ustawnym frasunku,
Zawsze narzeka; nie wiem, co siedzi w tej głowie!
Bóg dał piękny majątek, honory i zdrowie,
A zawsze nieszczęśliwa, we dnie spać się kładzie,
A całą noc się tłucze w dzikiej promenadzie;
Płacze, patrzy na miesiąc, gada do obłoków,
Wzywa jakichściś cieniów, jakichściś wyroków.
Żeniąc się z nią starosta musiał bydź szalony.
Ach, co to za różnica od nieboszczki żony!
Już teraz takich nie ma; to to pani rzadka,
Coto za gospodyni, jaka dobra matka!
Jak córkę swą kochała.

Jakób.

Pewnie że dzisiejsza —
Mniej od pierwszej rozsądna, lecz za to modniejsza —
Byłaby z niej zrobiła pocieszne stworzenie.

(Słychać za teatrem trąbkę myśliwską).

Agatka.

Ale, coto za hałas, coto za trąbienie?

Jakób.

To zapewne Szarmantcki wyjeżdża na łowy.

Agatka.

Ten sowizrzał dom cały przewrócić gotowy,
Coteż on nie wyrabia! gada bez pamięci,

Lata z kąta do kąta, wierci się i kręci,
Każdą zaczepi; ja mu nie mogę darować,
Wczoraj na schodach chciał mię gwałtem pocałować;
Jam się od tej napaści jak mogła broniła,
Nareszciem go ze złości za włosy chwyciła;
Lecz śmiech mię jeszcze bierze, uciekł przelękniony,
A w ręku mym się został warkocz przyprawiony;
Chcesz? to ci podaruję tę zdobycz ogromnę.

Jakób.

Nie chcę, ja mu kawałka tego nie zapomnę.

Agatka.

Niewiem, dla czego trzpiot ten u nas przesiaduje?
Widzę, że starościnie bardzo nadskakuje,
I samemu staroście; jeźli nie mylę się,
To podobno zamyśla o pannie Teresie.

Jakób.

Kto? on? niechże bóg broni: takowe zamęście
Przyniosłoby tej pannie ostatnie nieszczęście;
Któżby ją znowu oddał trzpiotowi takiemu?

Agatka.

On jej nigdy nie godzien.

Jakób.

Dajmy pokój temu,
Mówmy raczej o sobie: Agatko kochana!
Ja cię kocham, tyś do mnie trochę przywiązana,
Znasz mię już od lat kilku; jestem państwu wierny,
Pilny w mych powinnościach, a choć zbiorek mierny,
To go pomnoży praca, staranie, a zatem
Będzie człowiek szczęśliwym, będzie i bogatym;
Prawda, że się w podległym stanie urodziłem,
Zawsze jednak poczciwym, rządnym, wiernym byłem.

Agatka.

Niełudziłam się nigdy chciwością majątku,
Chcę słuchać mego serca i mego rozsądku;
Miałam znaczne dość partye; wszak wiesz, z tej tu włości
Starał się o mnie długo ów pan podstarości,
Człek hoży, mający się wcale należycie;
Lecz jakiż los mię czekał, jakie smutne życie?
Mieć męża, co z urzędu daje ludziom plagi,
I na znak dostojeństwa i silnej powagi
Widzieć nad mojem łóżkiem kańczuk zawieszony —
Niechcę, by kto od męża mego był dręczony;
Nie przypadł mi do serca urząd, ni osoba;
Ten będzie moim mężem, kto mi się podoba;
(bierze go pod brodę)
A tak wiesz, jeźli do mej ręki masz już prawo?
(oglądając się)
Państwo nadchodzi, czas już pospieszyć się z kawą.
Bądź zdrów.

Scena II.

Pani podkomorzyna, pan podkomorzy i starosta.

Starosta (prowadząc podkomorzynę pod rękę.)

Com mówił wczoraj, powtarzam dziś rano,
Cóż, wać pani nie jesteś jeszcze przekonaną?

Podkomorzyna (z tonem sprzykrzonym).

Jestem wprawdzie, milczę, i wszystkiemu wierzę.

Starosta.

Nie dosyć na tem, bo to zapewne nie szczerze;
Trzeba wchodzić w uwagi, przyczyny, powody,
Tym sposobem przyjdziemy do zupełnej zgody.
Otóż tak, powiedziałem wczoraj na wieczerzy,
Że ta wojna, która się w około nas szerzy,
Potrwa — może się mylę, — może mniej lub więcej
Potrwa — lat ośmnaście i dziewięć miesięcy;

Potem zgodzą się, jak się każdy już zmorduje,
Bo zwyczajnie po wojnie pokój następuje.

Podkomorzyna.

Tak do tych czas bywało, lecz siadajmy proszę,
(Siadają, podkomorzyna nalewa kawę, wszyscy piją, jeden starosta trzymając w ręku filiżankę mruczy pod nosem—na boku.)
Ach! jakie ja też nudy z tym człekiem ponoszę.

Starosta.

Waćpani niepamiętasz wojny siedmioletnej,
Właśnie wtenczas, gdy umarł syn mój małoletni,
Pamiętam, że trybunał sądziłem w Piotrkowie,
Kasztelan był marszałkiem, niech mu bóg da zdrowie;
Pani wojewodziny sądziliśmy sprawę —
Niewiem, o dożywocie czyli o zastawę —
Kiedy przyszła wiadomość, że pokój zawarty,
Ja właśnie u marszałka grałem wtenczas w karty,
Kazaliśmy dać wina, walnieśmy się spili
Za zdrowie owych, co się w owych bitwach bili;
Otóż pożar i dzisiaj tak będzie ognisty,
Bo jak zważam gazety i z różnych miejsc listy,
Jak razem kombinuję przeszłe, przyszłe rzeczy,
Wojna potrwa, i nikt mi tego niezaprzeczy.

Podkomorzyna.

Ale starosto kawa tymczasem ostygnie.

Starosta (pije i gada dalej).

Jak się to wszystko skończy? ja tak przywiduję,
I zobaczycie z czasem, jeźli niezgaduję,
Cała ta długa wojna na tem się zakończy,
Że król pruski z cesarzem najściślej się złączy;
Anglia z Francyą obronne uderzy przymierze,
Rosya Krym cały odda, a Chiny zabierze;

Szwed waleczny na zawżdy złączy się z Duńczykiem,
Turczyn zaś wszystkich mocarstw będzie pośrednikiem.

Podkomorzy.

Przyznać należy, że to systema jest nowe.
Względem mojej ojczyzny spokojną mam głowę,
Zawarliśmy z potężnym sąsiadem przymierze,
Jużeśmy dziś pewniejsi.

Starosta.

Ja temu nie wierzę:
Polska nigdy się z nikim łączyć niepowinna,
Niech cicho siedzi, ale niech nie będzie czynna;
A jeżeli koniecznie o przymierze chodzi,
Niech się zdalekim łączy, co jej niezaszkodzi,
Z Hiszpanią, Portugalią, nawet z Ameryką.

Podkomorzyna.

Z Persami, Tatarami, albo z Siczą dziką.

Starosta.

Pewnie, że lepiej z niemi; pożytek ztąd czysty....
Waćpani zawsze sprzeczna.

(wchodzi Jakób z listami).

Podkomorzy.

Cóż tam?

Jakób.

Z poczty listy.

Podkomorzy (odpieczętowawszy).

A to od mego syna, chwalebna ich praca
Odłożona na chwilę i syn mój powraca;
Ciesz się kochana żono, dzisiaj go ujrzymy.

Podkomorzyna.

Jakżem szczęśliwa! dawno już po nim tęsknimy.

Podkomorzy.

Jam nietęsknił, gdyż zadość czynił urzędowi;

Dom zawsze ustępować powinien krajowi.
W nieprzytomności jego cieszyły mię wieści,
Że się wśród tych cnotliwych mężów syn mój mieści,
Co z przemocy i hańby kraj nasz wydobyli.

Starosta.

Nie długo się tem wszystkiem będziemy cieszyli,
Bóg wie, co porobiły sejmujące stany,
Dlaczego ten rząd, po co te wszystkie odmiany?
Alboż źle było dotąd, a nasi przodkowie,
Niemieliż to rozumu i oleju w głowie?
Byliśmy potężnymi pod ich ustawami,
Jak to Polak szczęśliwie żył pod Augustami!
Co to za dwory, jakie trybunały huczne,
Co za paradne sejmy, jakie wojsko juczne.
Człek jadł, pił, nic nie robił i suto w kieszeni;
Dziś się wszystko zmieniło i bardziej się zmieni
Zepsuli wszystko, tknąć się śmieli okrutnicy
Liberum Veto, tej to wolności źrenicy! *(płacze)*
Przedtem bez żadnych intryg, bez najmniejszej zdrady
Jeden poseł mógł wstrzymać sejmowe obrady,
Jeden ojczyzny całej trzymał w ręku wagę,
Powiedział niepozwalam i uciekł na Pragę;
Cóż mu kto zrobił? jeszcze za tak przedni wniosek
Miał promocye i dostał czasem kilka wiosek;
Dzisiaj co kto dostanie? nowomodne głowy
Chcą robić jakieś straże, jakiś sejm gotowy,
Czyste do despotyzmu otwierają pole.

Podkomorzy.

Wskrzesają mądrą wolność, skracają swywolę.
Ten to nieszczęsny nierząd, to sejmów zrywanie
Kraj zgubiło, ściągnęło obce panowanie. . . .
To zaborów, to srogich klęsk naszych przyczyną,
I my sami byliśmy nieszczęść naszych winą;

Gnijąc w zbytkach, lenistwie i biesiad zwyczaju,
Myśleliśmy o sobie, a nigdy o kraju;
Klęskami ojców nowe plemie ostrożniejsze,
Wzgardziwszy zyski, już jest na całość baczniejsze.
Nieba zdarzyły porę, oni ją chwycili,
Ojczyznę z pod ciężkiego jarzma wydobyli,
Walcząc wszystkie przeszkody gorliwą robotą,
Idąc przykładem króla i własną swą cnotą,
Powracają porządek i sławę ojczyznie.
Stokroć szczęśliwy, że choć przy późnej siwiznie
Ujrzę, że Polska rządna i że poważana.

Starosta.

Wiem, że waćpanu każda przyjemna odmiana;
W księgach się tych dzikości wszystkich nauczyłeś,
W tych księgach, nad któremi już oczy straciłeś.
Ja, co nigdy nie czytam, lub przynajmniej mało,
Wiem, że tak jest najlepiej, jak przedtem bywało.
Równycheś sentymentów nauczył i syna,
Czysto w zdaniach tatunia swego przypomina;
Pięknie się na dzisiejszym sejmie popisował.

Podkomorzyna (z żywością).

W nieuczciwem go zdaniu nikt nieposzlakował.

Starosta.

Niewiem czyli złe zdanie, czyli też uczciwe,
Może bardzo rozumne, ale niegorliwe;
Każdej rzeczy jakoweś zgłębianie zdaleka,
To, śmieszne jakieś względy na prawa człowieka,
To, zawody sumienia, to, delikatności,
To, jakieś szanowanie świętych praw własności....
Za naszych czasów na to wszystko niezważano,
Wszyscy byli kontenci, robiono co chciano.
Rozumiesz, że syn jego dokazywał wiele,

Raz się w tydzień odezwał, lub we dwie niedziele;
Poseł gadać powinien.

Podkomorzy.

Powinien wprzód myślić,
W kilku zważonych słowach łatwiej rzecz jest skryślić,
Niżli w rozwlekłej mowie, bez ładu i związku,
Bydź upartym — pozorem niby obowiązku.
Człek rozumny, co łączy światło z przekonaniem,
Długo waży, niżli się odezwie z swem zdaniem;
Obstaje przy niem, nie przez wrzaski przeraźliwe,
Nie dla tego, że jego; lecz, że sprawiedliwe.
Człek cnotliwy jest stałym, człek próżny upartym.

Starosta.

Ja, co mówię i myślę sposobem otwartym,
Powiadam, że uparty człek zawsze wygrywa.
Świeży mam tego przykład: rok ledwie upływa,
Kiedy byłem na dziale chorążego synów;
Najstarszy jak się uparł o kilka tam młynów,
Niesłusznie prawda; cośmy się go naprosili!
I nie i nie; nareszcie bracia ustąpili.
Powiedzże waćpan teraz, że uparty traci.

Podkomorzy.

Wielki zaiste zaszczyt, że ukrzywdził braci.
Jakże waćpan takiego dopuściłeś działu?

Starosta.

Mówiłem młodszym, żeby szli do trybunału,
Niechcieli; wolim cierpić, niż z bratem się kłócić.
Niechże cierpią. Lecz chcąc się do pierwszego wrócić,
Jakież waćpana zdanie o sejmie gotowym?
Czyli się to z rozumem może zgodzić zdrowym,
Żeby poseł w urzędzie był dwa lata trwale?

Sejm powinien bydź tylko o świętym Michale
Niewięcej jak sześć niedziel, tak przedtem bywało.

Podkomorzy.

I to wszystkich klęsk naszych przyczyną się stało;
W nierządzie i letargu naród zanurzony,
Raz we dwa lata sejmem bywał przebudzony,
Nie dlatego, by radził, lecz żeby się kłócił,
W nieładzie wszystko zastał, w nieładzie porzucił;
Kraj ustawnych zaradzeń może potrzebować,
Te powinien w swym rządzie bez zwłoki znajdować.

Starosta.

Bez zwłoki! to o sejmie nie można powiedzić,
Dzisiejszy przez dwa lata nieprzestał się biedzić;
I cóż ci prawodawcy dobrego zrobili?
Wszystko pozaczynali, a nic nie skończyli.

Podkomorzy.

Narody szybkim pędem do upadku lecą,
Lecz długo trzeba czekać, niżli się oświecą,
Nim się zwalczą przesądy, duch niezgód obłudny;
Nad wkorzenionym błędem tryumf światła trudny.
Czernić sejm ten już rzeczą stało się zwyczajną,
Niezrobił tyle, co mógł, nikomu nie tajno;
Ale zważając jakie znajdował trudności,
Za to, co zrobił, wiele winniśmy wdzięczności.
Niepodlegamy dzisiaj już panu obcemu;
Zważmy, czymeśmy byli lat tylko dwie temu?
Wewnątrz słabi, niezgodni, srodze uciśnieni,
U postronnych nieznani, albo też wzgardzeni;
Dziś się sława narodu i powaga wraca;
Obywatel z radością podatek opłaca,
Przez wolny sojusz dawna świetność nam oddana,
Mamy dziś sprzymierzyńca, mieliśmy wprzód pana;

Wojska wzrastają pełne szlachetnej ohoty,
Patrz na okryte zbroją cnej młodzieży roty;
Skarby złotem, zbrojownie spiżem napełnione:
Będą jeszcze dla Polski dni świetne wrócone,
Będą, byleby naród cnotą zapalony,
Chęcią dobra ojczyzny z królem połączony,
Uwodzić się namowom przewrotnym niedawał
I w zaczętej już pracy nigdy nieustawał;
Niech każdy ma szczęśliwość powszechną w pamięci,
I miłość własną kraju miłości poświęci!
Z dawnym wyborem wkrótce nowy się połączy,
Co pierwszy niedokonał, to drugi dokończy;
Czynnie robiąc zaradzi powszechnej potrzebie,
Zyska szczęście dla kraju a sławę dla siebie.

Starosta.

Wszystko to piękne słowa i piękne nadzieje,
Lecz na te obietnice ja się tylko śmieję;
W tym rządzie skryta jakaś intryga pracuje;
Ja się na nic niezgodzę, zaraz protestuję, (*z pasyą*)
A gdy zdanie waćpana sprzeczne z mojem wszędzie,
Syn jego mojej córki pewnie mieć nie będzie.

Podkomorzy.

Cóż sprzeczka nasza ma się tykać mego syna?
Żeśmy innego zdania, to nie jego wina,
Porywczo losem córki niezechcesz rozrządzić,
Raczysz wprzód zięcia poznać i zdatność osądzić;
Najbardziej młodych osób zważyć gust, skłonności....

Starosta.

Znam je już dobrodzieju.

Scena III. *Ciż sami i lokaj starosty,*
(oddaje bilet podkomorzynie.)

Lokaj.

Bilet od jejmości.

Podkomorzyna (czyta.)

Bardzo jestem rozgniewana, że nie mogę udać się na przyjemne ich śniadanie; głowa źle mi robiła przez noc całą i szagrynka przeszkadzała mi zamknąć oko; jestem w strasznej feblesie, skoro będę lepiej polecę w ręce kochanej kuzynki.

Podkomorzy.

Rozumie kto z waćpaństwa co ten bilet znaczy?

Podkomorzyna.

Kuzynka z francuzkiego myśli swe tłómaczy.

Podkomorzy.

Głowa źle mi robiła! co za wyraz mowy?

Podkomorzyna.

Znaczy la tête me fait mal francuzkiemi słowy.

Podkomorzy.

Dziwić się nie należy, jeźli starościna
Nie rozumie po polsku, nie jest to jej wina,
Ale tych raczej, co jej dali wychowanie,
Co wytworności dzikiej powziąwszy mniemanie,
Gardząc własnym językiem i rodem i krajem,
Chowają dzieci polskie francuzkim zwyczajem,
I taką na nie baczność od kolebki łożą,
Że mamki i piastunki z zagranicy zwożą.
Któż ich do dalszej nauk doprowadza mety?
Madam, co we Francyi robiła kornety,
Albo włóczęga Francuz; i cóż ztąd wynika?
Młodzieniec, zapomniawszy własnego języka,
Obcym nawet źle mówi i, gdy wiek ubieży,

Uczyć się musi, co do Polaka należy,
Bo dotąd wskazywane mając obce wzory,
Wie dobrze kto jest Vestris*, nie wie kto Batory.
Powszechniejsza jest we płci niewieściej ta wada,
Wychowanie ich z zalet pozornych się składa,
Więcej powabów, niżli obyczajów liczą;
Schowane, żeby były pożycia słodyczą,
Nagrodą cnych postępków i skromności wzorem. . .
Nie — przekładają obcych śmieszności iść torem,
Wlały w nie wiele nauk ich nauczycielki,
Prócz powinności żony i obywatelki;
Tak w wszystkiem trzymając się obcego zwyczaju,
Widzimy cudzoziemki w własnym naszym kraju.

Podkomorzyna.

Wyznajże drogi mężu, żeś nazbyt surowy.
Znajdują się i w naszym kraju białogłowy,
Co umieją szanować święte stadła związki,
I pełnią żon i matek dobrych obowiązki.

Podkomorzy.

Wiem, że są takie, samaś waćpani dowodem.
Wiem, że są znakomite i cnotą i rodem,
Co żyją skromnie, kraj swój nad wszystko kochają,
Obywatelskie cnoty w synów swych wpajają.
Widzieliśmy jak, idąc Rzymianek przykłady,
Dzieliły z nami chętnie publiczne nakłady,
Z skroni pozdejmowawszy przepyszne ozdoby
Oddały je ojczyznie; takiemi sposoby
Niewiasta w wolnym kraju chwały dostępuje,
Takich ja obyczaje i cnoty szanuję;
Lecz ganić nieprzestanę nierozsądne matki,

---

*) Sławny we Francyi tancerz.

Co, łożąc na swe córki majątku ostatki,
Dają im wychowanie wykwintne i modne;
Lecz z życiem, co wieść mają, bynajmniej niezgodne.
Cóż dalej? miasto czuwać nad rządem domowym,
Głowy nabite mając dymem romansowym,
Dzikie jakieś pojęcie nabywszy o szczęściu,
Nie znajdują go w ciszy i słodkiem zamęściu,
Idą zatem rozwody, skargi, narzekanie;
A wszystkiego przyczyną zdrożne wychowanie.

Starosta.

Ważnych uwag waćpana cierpliwie słuchałem,
Lecz się przyznam, że w duchu serdecznie się śmiałem.
Jakże waćpan, co sprzyjasz tak każdej odmianie,
Dziś żywo nowomodne ganisz wychowanie?
Wszak ta edukacya, te nowe przykłady,
Równie jak sejm gotowy, jak wasze zasady,
Wyście powymyślali, dziś znów niekontenci;
Wiesz waćpan co to było za naszej pamięci?
Młodzieniec wiedział, że go głośna czeka sława,
Gdy umiał po łacinie i *volumen* prawa;
Szedł potem do wszystkiego — i ludzie bywali,
Którzy nic się nieucząc o wszystkiem gadali;
Dziś spytaj chłopca w szkołach prosto, nie zawile,
Rozumie Horacego, pozwu — ani tyle;
Głowę mając dzikiemi rzeczami nabitą,
Wie dobrze co ananas, a niewie co żyto.

Podkomorzy.

To nie dobrze; powinien znać jedno i drugie,
Niech się naprzód sposobi na kraju usługi,
Niech wie dalej, jak inne narody się rządzą,
Naśladuje ich cnoty, strzeże się w czem błądzą;
Przez takową wiadomość człek światła nabiera,

To krajowych przesądów zasłonę rozdziera.
A jeźli w dalszym wieku zwiedzi obce kraje,
Niech przyjmuje ich cnoty, nie śmieszne zwyczaje,
Niech z uwag swych dla kraju pożytki gotuje,
Niechaj zdobi swój umysł, lecz serca nie psuje.

Starosta.

Mówiłeś waćpan niby na obydwie strony,
Lecz widzę za nowością zawsześ uprzedzony.

Podkomorzy.

A ja mówię żeś waćpan przyjacielem mody,

Starosta.

Jakże to dobrodzieju?

Podkomorzy.

Mam tego dowody.

Starosta.

Jakież? proszę.

Podkomorzy.

Ciężko co naleść na obronę:
Oto własnym wyborem pojmując za żonę
Damę zacną, lecz która modnem wychowaniem
Nie zgadza się z humorem waćpana, ni zdaniem.

Starosta.

Miałem w tem tę przyczynę. .

Podkomorzy.

Musiała bydź ważna.

Starosta.

Pewnieże! dość powiedzieć, że była posażna;
Mospanie, gdzie się suma z dobrami zjednoczy,
Tam na resztę bezpiecznie można zamknąć oczy;
Zważ waćpan, jak niemiało ulgnąć me serduszko?
Naprzód trzykroć gotowych znaleść pod poduszką;
Dobra nad samą Wisłą, klucz na Ukrainie;

Zastawę w sandomierskiem i dworek w Lublinie;
I tak silnym powabom któż z nas oparłby się?
Prawda ma swe śmieszności, ma swe widzimi się;
Lubi czasem chorować i — co mi to szkodzi,
Że w myślach zatopiona po miesiącu chodzi?
Że lubi lasy, zdroje, słowiki, murawy?
Niech sobie lubi; ja znów mam swoje zabawy,
Bo, gdy ona w ustroniu rozwodzi swe żale,
Ja sobie gram w warcaby, albo tytuń palę,
A tak każde kontente.

Podkomorzy (*na boku*).

Łatwo temu wierzę,
Kto tak stałym umysłem wszystkie rzeczy bierze,
Temu dworek w Lublinie i nad Wisłą włości
Łatwo słodzą niesmaki, spory i przykrości.

Scena IV. *Ciż sami i Teresa.*

(*Teresa, pocałowawszy ojca w rękę, kłania się podkomorzemu i podkomorzynie*).

Starosta.

Jak się miewasz Teresiu? dobrze ci się spało?

Teresa.

Nie zbyt dobrze, bo jejmość cierpiała noc całą.

Podkomorzyna.

A miałażeś wygodę?

Teresa.

W tym tak zacnym domu,
Na wygodzie, staraniu niezbywa nikomu;
Znam go od dawna, pod ich schowana dozorem,
Wasze życie i cnoty były dla mnie wzorem,
Czułych ich starań tkliwe zachowam wspomnienie.

Podkomorzyna (*do starosty*).

Co to za miłe, wdzięczne i skromne stworzenie!

Słodycz, dobre skłonności natura w nią wlała,
W oczach naszych w urodę i cnoty wzrastała,
Kocham ją, jak mą córkę.

Starosta.

Dobra z niej dziewczyna,
Lecz prawdę mówiąc, zawsze wolałbym mieć syna;
Ta wziąwszy posag, bóg wie dostanie się komu;
Z syna przecię i pomoc i wygoda w domu,
Bo, czy to w trybunale sprawę poforsować,
Czy ekonoma z intrat ściśle obrachować,
Czy pchnąć do Gdańska, zawsze dobrze użyć syna;
Właśnie mi się historya dobra przypomina;
Raz mój ojciec . . . .

Podkomorzyna.

Starosto! powiesz przy objedzie,
Pójdziem do chorej; może tymczasem nadjedzie
Syn mój, i koniec długiej przyniesie tęsknocie.
Teresiu możesz tutaj zostać przy robocie.
(*wychodzą*).

Scena V. *Teresa* (*sama*).

Dziś go tedy ujrzymy, dzisiaj ma się wrócić,
Nie wiem, czyli się cieszyć, czyli mam się smucić!
Z skłonnością moją walczą rodziców rozkazy;
Ach, dla tkliwego serca, jak okrutne razy!
Schowana z nim w tym domu, w latach mych dziecinnych
Miłość się przy zabawach zajęła niewinnych,
Minęły te zabawy, zostało wrażenie;
Przymuszać się ustawnie, co za udręczenie!
Wszystko mię zdradza, niech kto imie jego wspomni,
Zapłonienie na twarzy postrzegą przytomni,
Lecz czegoż się mam płonić? publiczny szacunek

Upoważnia mój wybór i słodzi frasunek;
Dzisiaj go więc zobaczę!

Scena VI. *Teresa, Szarmantcki.*

Szarmantcki (wpada niepostrzegając Teresy).

Latać godzin kilka,
I jednego nieruszyć zająca ni wilka,
To ostatnie nieszczęście.

(postrzegając Teresę)

Niech pani daruje,
Że się przed nią w zbryzganym fraku prezentuję!
Wraz ztąd lecę i włożę ciemny wiginiowy:
Oczy jej już mi słodzą niepomyślne łowy,
Ale biedny kasztanek!

Teresa.

I cóż mu się stało?

Szarmantcki.

Nieszczęście: w zdłuż i w poprzek zbiegłem knieję całą,
Lecę przez pole i już wypadam na drogę,
Gdy wtem utkwił w zagonie i wywichnął nogę.

Teresa.

Żałość waćpana równie jest słuszna, jak szczera.

Szarmantcki.

Od pierwszego go w Anglii kupiłem pikiera,
Był to pierwszy koń w świecie; co niema przykładów,
Wygrał jeden po drugim dwadzieścia zakładów;
Ach! gdybym tu już serca nieuwięził mego,
Wrazbym leciał do Anglii szukać podobnego.

Teresa.

W tak chwalebnym zamyśle nie mogę zgadywać,
Ktoby tutaj waćpana śmiał dziś zatrzymywać?

Szarmantcki.

Zezwolić na to byłabyś waćpanna skłonną?

(*widząc, że Teresa patrzy nań z podziwieniem.*)
Waćpanna dobrodziejka lubisz jeździć konno?

Teresa.

Jeszczem nie próbowała.

Szarmantcki.

W Anglii wszystkie panny,
Czy to na polowanie, czy na spacer ranny
Inaczej — jak na koniu — nie wyjadą prawie.
Ja sam teraz na wiosnę bawiąc się w Warszawie,
Kasztelance jednego z koni moich dałem,
Jak ma siadać, jak jeździć, sam pokazywałem;
Z razu ledwie wyjechać śmiała na ulicę,
Teraz ot tak wysokie sadzi kobylice,
Wjeżdża na wszystkie progi i na wszystkie ganki.

Teresa.

Tak śmiałej powinszować można wychowanki.

Szarmantcki.

Gdyby pani ofiarą niewzgardziła sługi,
Cała ma stajnia na jej byłaby usługi,
Chciej tylko rozkazywać i dawać mi prawa.

Teresa.

Wdzięczna waćpanu jestem; lecz taka zabawa,
Chociaż nie jest naganną, jednak mię nie łudzi.

Szarmantcki.

Co za rozkosz, ach! byłbym najszczęśliwszy z ludzi,
Gdybym się mógł znajdować przy niej bez ustanku,
Gdybym obok niej jadąc jasnego poranku,
Gdzie gwar ptasząt przyjemny, gdzie źródeł mruczenie,
Mógł jej najżywsze moje malować płomienie,
I łzy moje mieszając z rosą niebios wonną....

Teresa.

Waćpan widzę koniecznie chcesz się kochać konno;

Inna ofiarę jego przyjąć będzie zdolną,
Ja odchodzę.

(*Odsuwa krosienka i chce odejść, Szarmantcki ją zatrzymuje.*)

Szarmantcki.

Życzeniom bądź moim powolną.
Chciej mię słuchać; na silne przysięgam jej wdzięki,
Że, jeźli mi nie zechcesz ubliżyć twej ręki,
Będzie mojem staraniem, byś przez to zamęście
Znalazła, czegoś warta, znalazła twe szczęście.
W każdym razie uprzedzać będę twe życzenie,
I prawem będzie dla mnie każde twe skinienie;
Nie będzie ci zbywało na żadnej zabawie,
Zimę i lato siedzieć będziemy w Warszawie,
Będziesz zawsze opływać we wszystkie dostatki,
Dom modnie meblowany, wieczerze, objadki,
Będziesz przyjmować gości i onych odwiedzać;
Karpantie z Szodoarem będą się wyprzedzać,
Który pierwszy z Paryża nowość jej sprowadzi,
Brać będziesz, co jej tylko chęć i gust doradzi;
Nareszcie, żebyś nawet w meblach była wzorem,
Sklep Hampla i Rezlera będzie ci otworem.
Jeźli ten dowód mojej miłości jest słaby....

Teresa.

Przyznaję, że ma w sobie łudzące powaby,
Lecz ja spokojne życie nad przepych przekładam,
I w modach i w Warszawie szczęścia niezakładam;
Kłaniam waćpanu. (*odchodzi.*)

Scena VII. *Szarmantcki* (*sam.*)

Zimne niby pożegnanie.
Ale jak mię to gniewa takie udawanie,
Bo to niby odmawia i niby się chwieje,

A wewnątrz wiem, że dla mnie z miłości szaleje.
Nie takie panny człowiek wyprowadzał z głowy,
Ach! żeby tylko mógł bydź kasztanek mój zdrowy;
Reszta pomyślnie idzie: Teresa mię kocha,
Ojciec mię życzy, całkiem za mną jest macocha,
Parę milionikow dobrze jest zacapić:
Przynajmniej długi człeka nie będą już trapić.
(Słychać hałas za teatrem; Szarmantcki ogląda się)
Cała widzę czereda wali się z hałasem,
Ja uciekam i frak mój odmienię tymczasem.

Scena VIII.

Podkomorzy, podkomorzyna, starosta, potem lokaj.

Podkomorzy.

No chwałabogu! przecięż nasza starościna
Nie ma gorączki, lepiej mieć się już zaczyna.

Starosta (cicho do podkomorzego.)

Są to chimery, na dzień w łóżku leżeć rada;
Kiedy chce tylko, to ją ta słabość napada.

Podkomorzy.

Wszakżem mówił waćpani, że na objad wstanie.

Jakób wpada z radością.

Panicz nasz starszy jedzie, i barwę i człeka
Wszyscyśmy rozeznali, choć jeszcze zdaleka.

Podkomorzyna (z radością).

O boże! jakże tkliwe będzie powitanie,
Czy on tylko zapewne? ach dla matki tkliwej
Co za radość, ach! jakiż to moment szczęśliwy.
(Bieży do okna i patrzy)
Ach on, ale daleko.

Podkomorzy

(idzie także do okna, Teresa zdaleka za nim patrzy).

Już mostek na rzece

Minął, ach jak się spieszy, już wjeżdża w ulicę.

Podkomorzyna.

Z radości patrz z powozu jak chustką znak daje.

Teresa (z pomieszaniem na boku).

Radość i pomieszanie w sercu mem powstaje.

Starosta.

Właśnie sobie wspominam, kiedym z derektorem
Wracał ze szkół do domu nad samym wieczorem,
Byłem jedynak i mnie rodzice kochali,
Ale nigdy podobnych scen nie wyrabiali.

Podkomorzyna (z radością).

Już wjeżdża w bramę, bieżmy naprzeciwko niemu.

Starosta (chwytając ją za rękę i zatrzymując).

Rodzice naprzeciwko synowi swojemu!
To wcale nieprzystoi.

Scena IX. *Ciż sami, Walery (wpada z radością; matka bieży przeciw niemu i padającego na kolana chwyta za szyję).*

Podkomorzyna.

Ach! mój ty kochany,
Wracasz na łono matki tak dawno czekany,
Jakże jestem szczęśliwa, że ciebie oglądam,
Nic już na świecie więcej.... niczego nie żądam..
Ty nie wiesz co dla syna serce matki czuje.

Walery (całując ręce matki z rozrzewnieniem).

Czuję matko, ach radość głos mi odejmuje!

(wydziera się od matki i idzie do ojca).

Podkomorzy (ściskając go).

Synu mój, miło ciebie nazwać tem imieniem,
Uczciłeś je przykładnem urzędu sprawieniem;
Patrząc na cię, największy mam powód wesela,

Że w synu moim widzę już obywatela,
Że los wam dla ojczyzny dał wtenczas pracować,
Gdyście śmiałem działaniem mogli ją ratować;
Mnie staremu już głowę opędził wiek siwy,
Żyłem w ucisku, ani byłem tak szczęśliwy,
Ohydna przemoc, podłość, chciwość, duch nieśmiały
Naród niegdyś tak sławny w ucisku trzymały;
Dziś koniec klęskom, legnę spokojny już w grobie,
Gdy zostawię ojczyznę i was w lepszej dobie.

Walery.

Ojcze bodajby bóg cię najdłużej zachował!
Jeźlim się nienagannie w urzędzie sprawował,
Winienem to przestrogom, które mi dawałeś,
Prawidłom, co z dzieciństwa w serce mi wpajałeś,
Żebym kochał ojczyznę i trzymał się cnoty.

Starosta.

No czy już się skończyły te wszystkie pieszczoty?
(*Walery idzie ku niemu i kłania się*)
Kłaniam waćpanu? a cóż . . . ustały już przecie
Mądre prace waćpanów, tak sławne po świecie?
(*z urąganiem*)
Oj teraz to dopiero będziemy szczęśliwi?
Teraz!

Walery.

Byleśmy byli zgodni i cierpliwi
Ujrzymy dobre skutki nowego porządku.

Starosta.

Jam wszystko już przewidział z samego początku,
(*podczas, gdy starosta rozmawia z podkomorzym, Walery wita się z starościanką*)
Ciekawe między nami będzie tu spotkanie,
Gotuję jegomości nie jedno pytanie.

Podkomorzy.

Potem starosto; dziś mu spoczynku po drodze
Potrzeba.

Podkomorzyna (do Walerego).

Dzisiaj wszystkie tęsknoty me słodzę,
Z radościąś dom zobaczył?

Walery.

Ach! możnaże komu
Bez czułego wzruszenia zbliżyć się do domu,
Ujrzeć te luby szczyty, gdzie się człek urodził,
Te lipy, pod któremi w dzieciństwie się chłodził;
Myśleć że się zbliżają chwile pożądane,
W których uściska ojca i matkę kochanę;
Któż się w tenczas nie wzruszy, któż się nie rozkwili?

Podkomorzyna.

Bodajbyśmy się więcej nigdy nie dzielili.

Walery.

A z braci mych żadnego w domu nie zastałem?

Podkomorzy.

Młodszego za towarzysz do znaku oddałem,
Uczy się służby — właśnie ściągnęła brygada;
A średni zaś w cywilnej komisyi zasiada;
Tęskno mi bez nich, ale w tem chlubę znajduję,
Że każdy syn mój służy, żaden nie próżnuje.

Starosta.

A ja właśnie podobne ułożenie ganię,
Któż się przy gospodarstwie, przy domu zostanie?

Podkomorzyna (patrząc na zegarek).

Już się to objadowa przybliża godzina,
Może też już i wstała z łóżka starościna.

Starosta.

U stołu będziem sobie gadać należycie,
I kielich za pomyślne spełnimy przybycie.

AKT DRUGI.

Scena I. *Teresa (sama).*

Teresa.

Przybył nakoniec; godzin już kilka upływa
Jak w radości, bojaźni, nie pewna, troskliwa,
Gdy każdy z nim rozmawia i wita ochoczy,
Ja ledwie nań niepewne śmiem podnosić oczy;
Pytaniami ciekawych ustawnie dręczony,
Nie dał i jednej chwili swojej ulubionej.
To serce trosek pełne i w ustawnem drżeniu —
Wśród tylu przeszkód, po tak długiem niewidzeniu —
Co je ustawnie dręczy, co cierpi, co czuje,
Na łono przyjaciela wylać potrzebuje;
Dochowałam ci wszystkich uczuć moich święcie!

Scena II. *Teresa, Walery.*

Walery (z uczuciem całując rękę Teresy.)

O! boże co za radość, jak słodkie przejęcie!

Teresa.

Jesteś z nami, twój widok troski me osładza,
I długiej niebytności tęsknotę nagradza.

Walery.

Ta nieprzytomność, co nas tak długo dzieliła,
Tereso! serca twego dla mnież nie zmieniła?

Teresa.

Mógłżeś wątpić? uczucia, w dzieciństwie powzięte,
Dochowałam ci mimo przeszkody zawzięte;
Ty — wśród zabaw, wśród świata wielkiego rzucony,
Samą pracą, widoków mnóstwem roztargniony —
Łatwiej ponosić mogłeś smutek oddalenia;
Mnie każde miejsce twoje wznawiało wspomnienia:
Przywodzić czasy z tobą strawione tak mile,

Myśleć o tobie, tobie poświęcać me chwile,
To szczęściem, zatrudnieniem to było codziennem.

Walery.

Wśród tyle roztargnienia nie stałem się zmiennym,
Czas wszystek poświęcałem pierwszej powinności,
Odpoczynek wspomnieniom i czułej miłości.
Ani rozumiej, żem jest tak pł chy, tak słaby,
Abym się przez łudzące dał uwieść powaby;
Te piękności, tak bardzo podobać się chciwe,
Widziałem bardziej próżne, aniżeli tkliwe;
Wolą bydź przez czcicielów roje otaczane,
Niż szczerze kochać i bydź nawzajem kochane.
Wierz mi: im bardziej chlubne wdzięki i ozdobą —
Nie jedną z nich równałem w sercu mojem z tobą —
Tymeś się szacowniejszą w oczach mych stawała.

Teresa.

Jeźlim się godną twego szacunku zdawała,
Jeźli nie wszystko we mnie podległe naganie,
Taką mię uczyniło matki twej staranie;
Wdzięczność dla niej mą tkliwość dla ciebie pomnaża,
Serce tobie oddane niczem się nie zraża;
Ty mnie kochasz — to dosyć; w układach swych dziwni,
Ojciec mój i macocha, dotąd nam przeciwni,
Człeka pustego, trzpiota chcą mi dać za męża;
Cóż? względy posłuszeństwa wstręt we mnie zwycięża;
(*z rozrzewnieniem*)
Z tobą żyć tylko pragnę, ciebie kochać stale!

Walery.

Duszę mi przenikają Tereso! twe żale,
Lżejszemi bydź powinny, bo wspólnie cierpimy;
Przecieżmy te przeszkody stałością zmożemy.
Ojciec twój, co bogactwa nad wszystko przenosi,

Sądzi, że zbiorów jego żądza mię unosi —
Jak się myli, jak krzywdzi me szczere płomienie,
Od wszystkich jego bogactw uczynię zrzeczenie;
Niech je zatrzyma, ale niech mi odda ciebie.
Część moja szczupła, przecież wystarczy potrzebie;
Z tobą milsze mi będzie nad posagi hojne
Słodkie pożycie, szczęście, godziny spokojne:
To me serce nad wszystkie dostatki przenosi.

Teresa (postrzegając lokaja starościny).

Otoż człek mej macochy.

Lokaj.

Jejmość panny prosi.

Teresa.

Powiedz, że zaraz przyjdę. Masz tedy dowody,
Momentu bydź nie możem z sobą bez przeszkody,
Ani osłodzić trosek, ni pocieszyć żale,
Bądź mi zdrów mój kochany, lecz nim się oddalę..
(dobywa z kieszeni pas szyty)
Przyjm tę pracę rąk moich, ten dar nader skromny,
Na dowód, żeś był zawsze myślom mym przytomny;
Strzeżona ustawicznie z pracą się mą kryłam,
Ukradkiem w nocy pas ten dla ciebie uszyłam,
Niechaj cię dar ten o mej wierności zapewnia.

Walery.

Tereso! dobroć twoja do łez mię rozrzewnia.

Teresa.

Bądź zdrów, odchodzić muszę.

Scena III. *Walery (sam, trzymając pas.)*

Drogi upominku!
Tyś ujmowała godzin od twego spoczynku,
Żeby dla mnie pracować; zakazy surowe

Wydzierają mi życia mojego połowę;
Lecz nie wydrą pociechy w sercu mem stroskanem,
I słodkiego uczucia, że jestem kochanym!
Ale któż znów nadchodzi osobność mą kłócić?

Scena IV. *Walery i Szarmantcki.*

Szarmantcki

(*ufryzowany z wielkim halsztukiem i w fraku eleganckim, rzuca się na Walerego i całuje go*).

Pozwól się przyjacielu! na łono twe rzucić,
Ucałować, przypomnieć tej przyjaźni świętej,
W młodych leciech w konwikcie tak czule powziętej.
Wiek minął, jakeśmy się z sobą rozdzielili,
Panowie tu na nowo Polskę przerobili,
Ledwiem ją poznał, kiedym wrócił z zagranicy:
Lecz jak to? lato całe strawiłem w stolicy,
Nigdzie nie spotkać!

Walery.

Mocno tego żałowałem;
Moje zabawy, domy, które odwiedzałem,
Może, że nie te były, kędyś waćpan bywał.

Szarmantcki.

Wtenczas u Kolsonowej najwięcejm przebywał,
W ulicy ujazdowskiej; wpośród pracy takiej,
Jakżeś też nie wyjechał i razu na raki?

Walery.

Prawdziwie, że się tego nieskończenie wstydzę,
Lecz słodzę stratę, kiedy dziś waćpana widzę;
Jak długo odwiedzałeś waćpan cudze kraje?

Szarmantcki.

Rok tylko, alem przejął wszystkie ich zwyczaje;
Prawdziwie, już nie mogłem w ojczyznie usiedzieć:
Naprzód, ojciec mi kazał w sprawach się swych biedzić,
Jeździć po trybunałach, to śliczne zabawy!

Wolałem przegrać dobra, niż pilnować sprawy;
W rok zdało mu się oddać mię do gabinetu,
Porzuciłem: nie umiem dochować sekretu;
Dalej próbując mojej w żołnierce ochoty,
Nabył dla mnie chorągiew w rejmencie piechoty;
I to mi się sprzykrzyło; przecież opatrzności
Zdało się ojca mego przenieść do wieczności!
Zobaczywszy się panem znacznego majątku,
Z radości nie wiedziałem, co robić z początku...
(*poprawiając halsztuka i desynując się*)
To prawda, że bóg człeka stworzył dosyć ładnie;
Żebym jednak wykształcił figurkę dokładnie,
Chciałem Paryż odwiedzić, dobra więc dzierżawą
Puściwszy, rozstałem się z kochaną Warszawą.

Walery.

Toś się waćpan podówczas w Paryżu znajdował,
Gdy rewolucya, gdy się on zapał zajmował?

Szarmantcki.

To mię też zamieszanie z Francyi wypędziło.

Walery.

Właśnie wtenczas w tym kraju zostać się godziło;
Pewnieś się waćpan starał widzieć i bydź wszędy,
Zważałeś ich ustawy, a nawet i błędy.

Szarmantcki.

Wyznam waćpanu: nie wiem co się z nimi stało,
Bo mię wszystkie ich czyny obchodziły mało.
Dziękuję za tę sławną i wolność i trudy:
Nie uwierzysz w Paryżu jakie teraz nudy,
Nic na świecie tak wielkiej nie nagrodzi szkody;
Panienek ani ujrzysz; teatra, ogrody,
Bulwary i foksale są prawie bez ludzi;
Człowiek niema co robić, cały dzień się nudzi;
Raz, pamiętam, wyszedłem kupować guziki

Do ponsowego fraku; kupcy, czeladniki,
Jak gdyby ich umyślnie obrano z rozsądku,
Na warcie strzegli w mieście dobrego porządku;
Tak mię to rozgniewało, żem się wraz zawinął,
I czem prędzej przez Kale do Anglii popłynął.

Walery.

Przynajmniej ten kraj sławny, tak rozsądnie wolny,
Zastanowić uwagę waćpana był zdolny;
Rząd jego, rękodzieła i ustaw tak wiele
Dłużej go zatrzymały.

Szarmantcki.

Trzy tylko niedziele
Bawiłem w Anglii; srodze powietrze niezdrowe;
Kupiłem dwie par sprzączek i szpadę stalowę;
Byłem na parlamencie; tak jak u nas krzyki,
Lecz za to co za sklepy, łańcuszki, guziki,
Kursa koni! to w świecie najlepsza ustawa!
Ach! przyjacielu co to za szczęście, zabawa;
Tych się cudzoziemcowi opuścić nie godzi,
Co to za widowisko! człek w głowę zachodzi,
Nie możesz pojąć — jeden za drugim, jak leci,
Na takich koniach, ot tak prawie małe dzieci;
Pamiętam dnia jednego, śmiech mię bierze pusty,
Angielczyk jeden z małą peruczką i tłusty
Przegrał niezmierny zakład, w zapalczywym gniewie
Chciał koniowi w łeb strzelić, przypadam szczęśliwie,
Daję sto funtów: i tak od śmierci niebogę —
Uwalniam biedną klaczkę, gniadą białonogę.
Potem fraszek kupiwszy moc na darowizny,
Powróciłem nareszcie do matki ojczyzny.
Kiedym ja się tak bawił, pan, sławą okryty,
Chodził ustawnie koło rzeczypospolitej,

W pośród obywatelskich strawił czas swój trudów,
Winszuję bardzo ustaw, nie zazdroszczę nudów.

Walery.

Ta przyjaźń, którąś waćpan raczył mię uprzedzić,
Jeżeli mi pozwala prawdę mu powiedzieć,
Powiem: że to bez zysku żadnego jeżdżenie,
Wymówić chyba może wiek, niedoświadczenie;
Odtąd innym winieneś zatrudnić się celem,
Pamiętać, żeś Polakiem, żeś obywatelem,
Żeś najpierwsze twe winien ojczyznie usługi.

Szarmantcki.

Mam się znów dosługiwać? to sposób zbyt długi.
Urzędy, dostojeństwa, słowem wszystkie żądze
Łatwe do dostąpienia, gdy człek ma pieniądze;
Będą się kłaniać, chociaż nie będę pracować.

Walery.

Będą się kłaniać, ale nie będą szacować;
Publicznego szacunku ten tylko bezpieczny,
Kto, cnotliwie pracując, ludziom pożyteczny;
Ale go nie otrzyma, kto tylko próżnuje.

Szarmantcki.

Chcesz, bym był posłem na sejm, co dziś następuje?
Bardziej się jeszcze znudził, jak tu waćpanowie!
A dobrodzieju! wolę nadewszystko zdrowie;
Lata przeszłego — gdyście na sesyach siedzieli,
Gdyście się przez dzień cały męczyli, krzyczeli —
Ja z pudrem i z pomadą włos szczesawszy wonną,
Wsiadłszy w mą karyolkę, alboli też konno,
Obleciałem Mokotów, Wolę, Królikarnię,
Łazienki i Powązki, czasem Bażantarnię;
Wieczorem, przebrawszy się przy powiewnym chłodzie,
Łajałem wraz z drugimi sejm w saskim ogrodzie;

Wypiłem z przyjaciółmi ponczu dużą czarę,
Zjadłem brzoskwiń, moreli za dukatów parę;
Potem koło dziesiątej, kończąc dzień przyjemny,
Foksalowe zabawy okrywał mrok ciemny.

Walery.

Gdyby każdy tak żyć chciał, czemby Polska była?

Szarmantcki.

Niewiem, coby z nią było, leczby się bawiła;
Zawsze zdania waćpana są nazbyt surowe;
Żebyś mi też ustąpił statku choć połowę!
Ale słyszałem, że pan myśli stan odmienić,
Że się okrutnie kocha, ma się wkrótce żenić,
Z piękną, posażną, grzeczną, słowem zacną damą.

Walery.

Ja właśnie o waćpanu słyszałem to samo.

Szarmantcki.

Dalibóg, że nie, ale krewne uprzykrzone
Pokoju mi nie dają, żebym pojął żonę;
Co to za kłopot, co za bieda nieustanna,
Tutaj ciągną rodzice, tu kocha się panna.
Prawie chcą mię już gwałcić; no i cóż mam robić!
Już z biedy na małżonka trzeba się sposobić,
Tylu prożbom, wzdychaniom dać się ułagodzić...
Prawdziwie, że to bieda pięknym się urodzić.

Walery.

Te skargi oznaczają skromnego człowieka,
Szczęśliwy kto na piękność swą tylko narzeka!
Powinszować waćpanu serdecznie należy,
Najszczęśliwszyś podobno ze wszystkiej młodzieży,
Że bez najmniejszych starań, prawie przez niechcenie
Umiesz wzbudzać w kobietach najtkliwsze płomienie.

Szarmantcki.

Szczęście się przywiązało do mojej osoby,
Ale wyznać należy, mam moje sposoby,
I ktokolwiek iść zechce podług mych prawideł,
Żadna kobieta jego nie uniknie sideł;
Na dowód, że na próżno pochwał mych nie liczę,
Wraz waćpanu pokażę wszystkie me zdobycze,
Listy, portrety, włosy, obrączki, pierścionki,
Te panienek, te wdowy, te od cudzej żonki.

Walery.

Daję wiarę, żeś waćpan był bardzo szczęśliwy,
Proszę, niedowódź tego przez czyn nieuczciwy;
Tych, co mu zawierzyły, nie zdradzaj czułości.

Szarmantcki.

Otóż znowu pocieszne są delikatności!
Jeźli masz za uczciwość ochraniać kobiety,
Wierz mi, w ich oczach żadnej nie znajdziesz zalety;
Chciej się tylko w mej szkole cokolwiek przećwiczyć,
Tysiącami kochanek, jak ja, będziesz liczyć;
Muszę ci me portrety pokazać koniecznie.

Walery.

Na cóż? może się obejść bez tego bezpiecznie.

Szarmantcki.

Hej kozak!

Walery.

Ale wcale nie jestem ciekawy.

Szarmantcki.

Ale co ci to szkodzi, choćby dla zabawy?

Walery.

Wierz mi, gorszyć się będę z takiego uczynku.

Szarmantcki.

Kozak!

Scena V. *Ciż sami i kozak.*

Szarmantcki.

Czy masz portrety, co to na kominku
Leżały, i te listy, co porozrzucane
Na stole, te pierścionki z włosów?

Kozak.

Maju pane.

Szarmantcki.

Pokaż no.

(*Kozak szuka w szarawarach i wyciąga portrety, listy, włosy, pierścionki*).

To nie wszystko, gdzie reszta hultaju!
Gdzie ów mały portrecik?

Kozak.

Jej bohu! neznaju.

Szuka w szarawarach, za cholewami, znalazłszy za bótem oddaje.

Potierał za cholewou.

Szarmantcki.

Zważaj waćpan,
Patrzyć na te zdobycze, co to za rozkosze!

(*Walery poziera wzrokiem pogardy pełnym*).

Walery.

Przynajmniej nie chciej waćpan imion ich powiadać.

Szarmantcki.

Czemuż nie? tych skrupułów czasby już postradać.

(*krzyczy*)

Portret szambelanowej; patrz jak wdzięków wiele!
Kochałem ją serdecznie całe dwie niedziele.

(*Wyjmuje duży pierścień z włosów i przypatruje się*)

Już zapomniałem czyje te włosów pierścienie,
Ha, ha, półkownikowej, oj ta się szalenie
Kocha we mnie, ja zaś jej nie lubiłem wcale,

Co to były za szlochy, narzekania, żale;
(*pokazuje drugi portret*)
Ten portret w dezabilu i nocnym negliżu
Francuzka na wyjezdnem dała mi w Paryżu;
(*bierze jeden po drugim i pokazuje prędko*)
To portret cześnikowej, włosy podczaszanki,
Obrączka chorążyny, pierścień kasztelanki,
A to wachlarz kuzynki w tem zamknięciu złotem;
Listy, chcesz czytać teraz, alboli też potem?

Walery.

Schowaj waćpan i listy i te upominki.

Szarmantcki.

Patrzaj, te wszystkie piękne brunetki, blondynki,
Płaczą dziś po mnie, jęczą, chorują i mdleją;
Każda, że się powrócę, cieszy się nadzieją;
Myli się, będę srogim i nieprzebłaganym;
Walery, jeźli chcesz bydź od kobiet kochanym,
Nie kochaj nigdy, wskazuj nadziei promyki,
Oj niewiesz jeszcze co to są za dobrodziejki!
Człek, co kobiecie szczerze czucia swe oddaje,
Igrzyskiem się jej chimer i lekkości staje;
Zaraz go w poczet swoich niewolników liczy;
Pewna już ciebie, innej wraz szuka zdobyczy;
Porzuć więc skoro ujrzysz cokolwiek niestałą,
I powiedz wszystkim, co się między wami działo.

Walery (*z zgrozą*).

I waćpan tak haniebnem zdaniem śmiesz się chlubić!
Masz za żart zdradzać czułość i kobietę zgubić!
Wierzaj mi, nic po takim człowieku nie wróżę,
Który krzywdzi takiego, co się mścić nie może;
Osławiać tę płeć słabą jest niegodziwością,
Jestto połączyć razem występek z podłością;

Jeźli przez skłonność, lub też przez świetne zalety
Potrafisz zyskać ufność i serce kobiety;
Jeźli ci czucia swoje powierzy zbyt tkliwa;
Niech ten sekret na zawżdy w piersiach twych spoczywa—
Niech narzekać na ciebie nie znajdzie przyczyny;
Umiej pokryć jej słabość, a nawet i winy.

Szarmantcki.

Zbyt surową naukę chcesz mi waćpan dawać,
Ale najlepiej rzeczy po skutkach poznawać;
Kto z nas szczęśliwszy? czyli ja z niegodziwością,
Czy waćpan z swą dyskrecyą, z swą delikatnością?
Patrz!

(*pokazuje mu portret*).

Walery (*z największem zadziwieniem.*)

Portret starościanki! ach przysięgnę śmiele,
Nie masz go z rąk jej, powiedz przez jakie fortele
Do zbioru uwiedzionych — przez sztuczne obroty —
Przydałeś obraz wdzięków, czułości i cnoty?
Powiedz, oddaj go zaraz, albo w tem żelazie
Znajdziesz koniec twym zbrodniom i czułej urazie!
Uspokój mię, wszak widzisz moją zapalczywość!

Szarmantcki.

Ale poco te gniewy, dla czego ta żywość?
Gniewasz się, że kochanka ciebie oszukuje,
Śmiać się należy.

Scena VI.

Ciż sami i starościna.

Starościna (*w dezabilu i z miną omdlewającą*).

Jakiż ja hałas znajduję,
(*patrząc na Walerego, który w pomięszaniu.*)
Cóż to? waćpan wyrabiasz tak okropne krzyki,
Parlez plus bas, wszakże to nie wasze sejmiki,

La tête me fait mal; wszystkie nerwy mi wstrząsnąłeś;
Z odmianą stroju widzę i tony przejąłeś.
Wolę wyjść, bo to taka turniura już wasza,
Gotoweś się i na mnie porwać do pałasza.

Walery.

Waćpani dobrodziejki żądaniom dogodzę,
Chciej zostać, nie lękaj się, ja z miejsc tych odchodzę.

(*wychodzi.*)

Scena VII. *Szarmantcki i starościna.*

Starościna.

Quel ton! po cóż tak krzyczał sposobem nieznośnym?

Szarmantcki.

Nie wiem zkąd mu się wzięło bydź ze mną zazdrośnym.

Starościna.

C'est assez drôle prawdziwie; to on kochać umie?

Szarmantcki.

A zkąd znowu? on tego wcale nie rozumie;
Jego rzecz mowy pisać, prawo zacytować;
Lecz tej tkliwej czułości nie umie pojmować,
Tych rzutów serc do siebie, tego rozrzewnienia.

Starościna.

Tych łez słodkich, tych nocy bezsennie trawienia.

Szarmantcki.

Bezsennie? on noc całą chrapie, jak zabity.

Starościna.

Ach! bo mu serca ogień nie pali ukryty,
Ni okrutne suwniry!

(*płacze.*)

Szarmantcki.

Te łzy, te rozpacze
Porzuć proszę, bo ja się prawdziwie rozpłaczę.

Starościna.

Comme vous ètes bon, honnète, jak masz duszę tkliwę,
Ty jeden cieszyć możesz serca nieszczęśliwe.

Szarmantcki.

Wszystkiego mi się zwierzyć możesz poufale,
Zdawna widzę, że smutek, ciężkie jakieś żale
Struły życie waćpani; ustawnieś stroskana.

Starościna.

Twarz waćpana otwarta, dyskrecya tak znana,
Ufność we mnie wzbudzają; wsystko mu odkryję.
Widzisz w jakich supirach i tęsknocie żyję:
Une perte cruelle o boże! w kwiecie mej młodości
Kochałam szambelana, cud doskonałości,
Quelle figure et quels talents, jak cudnie walcował,
Jakie fraki, halsztuki, ach! jak się fryzował!
Ja, co zawsze nad względy miłość mą przekładam,
Mimo rodziców chciałam z nim uciec od madam,
Złączyć się z mym idolem....kiedy Parki srogie
Przecięły nożyczkami dni jego tak drogie.
(*płacze.*)

Szarmantcki.

O żale! o rozpacze! o dniu nader smutny!

Starościna.

Niewiesz jeszcze przez jaki przypadek okrutny;
(*wyjmuje z kieszeni pulares atłasowy i z niego papiery*).
O to wierszopis jeden, znany z swej czułości,
Podał go rymy swemi do nieśmiertelności;
Ja nie mam siły sama mówić o tej zgubie.

Szarmantcki.

Przeczytam, bo ja bardzo smutne wiersze lubię.

(*Szarmantcki czyta*)

Elegia na śmierć szambelana:

„Płaczcie małe Amorki! płaczcie Alcyony!
Szambelan już nie żyje, szambelan zgubiony,
A z nim zginęły wdzięki, miłość i rozkosze...
Uciszcie się Zefiry! . . zgon jego ja głoszę.“

Starościna.

Jak to czule pisano . . . O gorzkie wspomnienie!

Szarmantcki (*czyta dalej*).

„Febus dnia tego mgliste rzucając promienie,
Ojciec wiecznej światłości, czynów naszych świadek,
Zapłakany przegląda nieszczęsny przypadek.“

Starościna.

Ach czemuś go nie przestrzegł, mieszkający w niebie,
O ty nielitościwy! o okrutny Febie!

Szarmantcki (*czyta dalej*).

„Gdy szambelan do bótów srebrne przypiął kolce,
I przed ganek zajechać kazał karyolce,
Wskoczył na powóz świetny—i wprędce podane
Chwycił, jak od niechcenia, lejce srebrem tkane,
I bicz angielski, giętki, długi, trzaskający. . . . .
Tak, podobny do bogów, w powozie stojący
Przelatywał ulice wśród przepysznych gmachów,
Sięgając prawie głową latarni i dachów . . .
Leciał: bystre bieguny, nieścignione okiem,
Okrywały go gęstym kurzawy obłokiem;
Zbiegały się do okna panny i mężatki,
Widzieć ten cel swych życzeń, widzieć ten cud rzadki;
Szczęśliwa! którą spostrzegł i uchylił głowy!
Już był biegu swojego dopełnił połowy,
Kiedy o ostry kamień koło rozpędzone
Uderza, pęka: powóz, schylony na stronę,

Wyrzuca szambelana — pada i umiera . . . .
Na próżno zbroczonego stangret z krwie obciera,
Już nie żył; taka była srogich bogów wola:
Amorki duszę jego w elizejskie pola
Przeniosły, postawiły między Adonisem,
Dydoną, Eurydyką i pięknym Parysem.
Równie świeży jak róża, żył tyle co ona,
O strato równie ciężka, jak nienagrodzona!
Nigdy więcej na świecie drugi nie powstanie
Równie piękny młodzieniec, jak ty szambelanie!
W cóż się teraz obrócą piękne twoje sprzączki,
Konie, fraki, łańcuszki i złote obrączki?
Ach w cóż się twoja czuła kochanka obróci!
Smutek, żałość i rozpacz życia jej ukróci.
Fatalna karyolko, ja będę przeklinał
Dzień nieszczęsny, gdzie Dangiel robić cię zaczynał.
Płaczcie małe Amorki, płaczcie Alcyony!
Szambelan już nie żyje, szambelan zgubiony!“ —

Szarmantcki (*z rozrzewnieniem*).

Ach co za czułe wiersze! żal mi serce ściska,
I chociaż ten przypadek nie tyka mię zbliska,!
Smutny będę przez tydzień.

Starościna.

Ja zaś całe życie
W plentach i gorzkich żalach trawić będę skrycie.
O vous ombre cherie! (*płacze*).

Szarmantcki.

Czemuż nieba zagniewane
Złączyć niedozwoliły serca tak dobrane?

Starościna.

Tą śmiercią omylona w najtkliwszym wyborze,
La reste des mes jours chciałam przepędzić w klasztorze,

I zostać bernardynką, rodziców rozkazy
Nowe sercu mojemu przyczyniły razy,
Łącząc mię malgré moi z dziwacznym człowiekiem,
Co się niezgadza zemną ni gustem, ni wiekiem;
Który nawet wyrazów moich nie rozumie,
Co się atandrysować, ni jęczeć nie umie..
I, kiedy ja w najtkliwszem jestem rozkwileniu,
On przychodzi mi gadać o życie, jęczmieniu,
O fryorze do Gdańska.

Szarmantcki.

A to rzecz nieznośna,
I cierpi na to dusza prawdziwie miłośna;
Delikatnej czułości waćpaniś jest wzorem,
Ach! czemuż starościanka, nie idzie jej torem?

Starościna.

Jakże panna Teresa waćpana znajduje?

Szarmantcki.

Kocha mię, ale tego niedość pokazuje,
Podkomorzyc ją także pono bałamuci.

Starościna.

Bądź waćpan pewien, że się konkurencya skróci:
En vain podkomorzyna krząta się i swata,
Córki naszej nie damy nigdy za sensata.

Szarmantcki.

Zamiast romansów, w których czułość i zabawa,
On by jej kazał czytać wolumina prawa.

Starościna.

Zanudziłby ją na śmierć, tego nieścierpimy;
I ja i mąż mój nawet waćpana życzymy.

Szarmantcki (*klękając z zmyślonym zapałem*).

Wszechmocne nieba! coście dały jednę duszę,

Bym nieszczęsnej czułości ponosił katuszę,
Dajcie drugą, bym znieść mógł rozkosz niepojętą!

Starościna.

Ach! wszak to słowa z nowej Heloisy wzięte?
Jak szczęśliwieś przytoczył! takiego kochanka
En verité nie warta zimna starościanka;
Mais bientôt ma tu nadejść mąż mój uprzykrzony,
Chcę z nim pomówić; waćpan bądź już zapewniony,
Że koniec położymy czułej jego męce,
Że Teresa już jego.

Szarmantcki.

W waćpani ja ręce
Składam me losy, czucia i ogień ukryty.

(*odchodzi*).

Scena VIII. *Starościna* (*sama*).

O nieba, co to będzie za mąż wyśmienity!
Je suis fiere de mon choix i wielbię niebiosy;
Zaraz mu starościanka musi dać swe włosy;
W czułych tandresach słodkie te serca daniny
Więcej są warte, niż te głupie zaręczyny.

(*po chwili zamyślenia*)

Ils sont passés pour moi te chwile miłośne,
Zostały się cyprysy i ciernie nieznośne!
Dni moje pełne smutku i pełne żałoby;
Z tobą ja Jungu! mieszkać będę między groby.

(*Dobywa nocy Junga i czyta, przerywa czytanie i woła*)

O Jungu! twoja córka, twa córka kochana
Nigdy nie była warta mego szambelana!

Scena IX. *Starościna i starosta.*

Starosta.

Cóż się waćpani dzieje! sądziłem że gore,
Albo że które w domu zemdlało, lub chore,
Zkądże te krzyki?

Starościna.

Mon coeur, źle się trochę czuję,
Głowa mię boli, jakiś frisson mię przejmuje.

Starosta.

Jaki u licha fryson? ciało pewnie zdrowe,
Lecz te d'iabelskie książki bałamucą głowę:
Te was przenoszą w jakieś dziwaczne krainy,
I każą płakać, wzdychać, choć nie ma przyczyny.
Nie w takiem matki nasze bałamuctwie żyły,
Przędły, piekły pierniki, lub w krosienkach szyły;
Były przytem wesołe, szczęśliwe i zdrowe,
Nie durzyły im głowy dymy romansowe.

Starościna (płacze.)

Chcieć waćpanu dogodzić jest rzecz widzę próżna,
Kiedy się nie podobam, to się rozwieść można.

Starosta (na boku).

Tam do kata; gdyby iść chciała do rozwodu,
Utraciłbym połowę rocznego dochodu.
To nieżart żonę taką trzeba menażować.

(Do starościny — śmiejąc się i biorąc ją za rękę).

Nie robaczku, ja tylko chciałem tak żartować:
To się ciebie nie tyczy, bądź uspokojoną,
Ach drugiej takiej żony nieznalazłbym pono!
Nierozdzielim się nigdy; lecz, czemuż tak biedna,
Niechcesz się czem rozerwać, siedzisz sama jedna?

Starościna.

Lubię sobie przez okno patrzeć na naturę,
Szarmantcki robił ze mną malenką lekturę;
Tout à fait garçon brave i pełen tandressy,
Vraiment bardziej nad innych wart panny Teresy:
Nierefiuzuj mu dłużej.

Starosta.

Trudno trochę człeku
Wybrać między młodzieżą zepsutego wieku.
Mamy dwóch konkurentów, każdego ktoś swata,
Potrzeba wziąść za zięcia trzpiota lub sensata;
Przyznam się, wolę tego, co już jest swym panem,
Nie będę się zatrudniał przynajmniej ich stanem;
Lecz sensat bez majątku, bez dóbr i pieniędzy,
Morałami swojemi nie opędzi nędzy,
Nowy przyczyni zachód, wydatek i troski,
Trzeba zaraz dać posag, lub wypuścić wioski;
Ja zaś, niech się jak kto chce śmieje i urąga,
Ja za życia mojego nie dam i szeląga;
Niechaj się sam jegomość fortuny dorabia.

Starościna.

Votre argent Szarmantckiego zapewne niezwabia,
Au dessus des trésors, nad drogie kamienie
Woli regard Teresy, albo jej westchnienie.

Starosta.

I jakże? to o posag przykrzyć się nie będzie.

Starościna.

Jamais, on sobie w małej kabance osiędzie,
Na zielonym ryważu jasnego strumyka
Słuchać będzie z Teresą tkliwego słowika,
A quoi bon les richeses? w cichej solitudzie
Żyć będą niezważając, co powiedzą ludzie.
Des fruits, du lait, to ich będzie pożywienie,
Łzy radosne napojem, pokarmem westchnienie.

Starosta.

Jeżeli tylko takie mieć będą zabawy,
Jeżli się będą tuczyć takiemi potrawy,
To pewnie w krótkim czasie oboje wychudną,

I gościom u ichmościów będzie bardzo nudno;
Lecz powiedz szczerze, to on posagu nie żąda?

Starościna.

Parole d' honneur! wcale się na to nieogląda,
Nie myśli o posagu, gdy kto kocha szczerze.

Starosta.

To dobrze, niechże sobie córkę moją bierze,
Ja nic mu dać nie mogę, choć te wszystkie swaty
Rozumieją, że jestem okrutnie bogaty;
Ja atoli nic nie mam, nie takie to czasy!
Grunta pojałowiały, spustoszały lasy,
I w polu tego roku zupełnie chybiło;
Po nizinach wymokło, na wzgórkach spaliło,
Siana i źdźbła nie będzie, toż samo z jarzyną;
Cieszyłem się przynajmniej cokolwiek oźminą,
Alić się dowiaduję z listów ekonoma,
Że i te nie omłotne, sama tylko słoma;
Na przyszły rok nie myślić nawet o fryorze.

Starościna.

Mon coeur! ty jesteś pono w niedobrym humorze;
Mam cię prosić o łaskę.

(*głaszcze go pod brodę.*)

Starosta (całując ją.)

Powiedz tylko śmiele,
Powiedz me życie, mój ty kochany aniele!

Starościna.

Oto przeciw kabanki, coś mi dał w boskiecie,
Gdzie sobie przesiaduję na wiosnę i w lecie,
Jest karczma z młynem, a w niej szynkuje żyd brzydki...

Starosta.

Cóż, że nie piękny? ale mam z niego użytki:
Z karczmy tej dwa tysiące płaci mi arędy.

Starościna.

Eh! vous me sacrifires tak malenkie względy;
Znieś karczmę, prospektowi czyni mi zawadę,
A gdzie młyn, pozwól niech ja zrobię tam kaskadę;
Ach! co to za delicye, wśród wód tych mruczenia,
Wśród kwiatów słodkie będę przywodzić wspomnienia;
A berżerek, zdaleka smutnie grając sobie,
Będzie wdzięków dodawał przy wieczornej dobie.

Starosta.

Jak też waćpani możesz takich rzeczy prosić!
Mam znów żyda wypędzać, młyn i karczmę znosić?
Żeby zasądzać kwiaty i robić kaskady!

Starościna.

Toujours je vois en vous twardej duszy ślady
Nie znasz się na tej tkliwej czułości, o boże!
Co się to bardziej czuje, jak powiedzieć może.
Wszak posag mój wystarczy pono na kaskadę,
Si vous êtes si cruel, to ja precz odjadę.

Starosta.

Pozwól waćpani, niechaj pomówię wprzód z żydem,
Może się to ułoży.

Starościna.

To dla mnie jest wstydem,
Że tego na waćpanu wyprosić nie mogę.
(*rzuca się na krzesło i omdlewa*)
Je suis mal, je me meurs!

Starosta (*krzyczy*).

Ratujcie niebogę.
(*Przybiega Agatka i lokaj, dają jej wąchać wódkę i ratują*)
Trzeba prędko zapobiedz tej nagłej chorobie,
(*krzyczy do ucha*)
Jutro żyda wypędzę i kaskadę zrobię,

Niechaj się uspokoi me drogie serduszko!
Nieprzychodzi do siebie! nieście ją na łóżko.
(*Wynoszą starościnę z krzesłem*).

AKT TRZECI.

Scena I. *Teresa, Agatka.*

Teresa.

Powiadasz, że człek, co tu przybywał kryjomo,
Był to malarz z Warszawy?

Agatka.

To wszystkim znajomo,
Ja sama niewiedziałam, powiem dzisiaj szczerze,
Czemu ten człowiek wszystko kreślił po papierze,
I gdzie mógł, na waćpannę spozierał ukradkiem?
Alić się dowiaduje mój Jakób przypadkiem,
Że kochany Szarmantcki sprowadził go skrycie,
przyrzekłszy zapłacić pracę należycie,
Tajnie portret waćpanny kazał odmalować;
Pewnie, żeby się potem mógł z nim popisować,
Żeby się chwalić.

Teresa (na boku).

Otóż cała moja wina.
Otóż Walery twoich podejrzeń przyczyna.

Agatka.

Nieborak malarz! musiał dni tu kilka stracić,
A przy końcu Szarmantcki niechciał mu zapłacić—
Rozgniewany rzecz całą przed ludźmi powiedział.

Teresa.

O niesłuszny Walery! gdybyś błąd swój wiedział,
Anibyś niestałości śmiał mojej wyrzucać,
Ani serca czułego na chwilę zasmucać.

Agatka.

Panna jest widzę smutna! ach, cóżbym niedała,
Gdybym ją choć raz w życiu szczęśliwą widziała!

Teresa.

Wiem Agatko, że serce twe dla mnie przychylne;
Ale szczęście w tem życiu tak zwodne, tak mylne,
Tyle przeszkód do niego.

Scena II. *Ciż sami i Walery.*

Walery (w głębi teatru).

Żalem obciążony,
Jakże stanę w jej oczach, smutny, obwiniony,
Ach czemże jej zmartwienie potrafię nagrodzić!

Agatka (na boku).

Ma przytomność mogłaby ich zgodzie przeszkodzić.
(do Teresy)
Panna pozwoli, że tu dłużej niezostanę,
Mam jeszcze dla jejmości obszywać falbanę.
(odchodzi).

Scena III. *Walery, Teresa.*

Teresa.

Walery! wieszże błędu twojego przyczynę,
Chceszże dłużej unikać?

Walery (z ogniem).

Wyznaję mą winę,
O Tereso! miej litość nad smutnym mym stanem:
Niebyłem w pierwszym razie czucia mego panem;
Gdy mi zdrajca pokazał ten obraz tak święty,
Zadziwieniem, zazdrością i żalem przejęty,
Nieszczęśliwy! niemogłem atoli winować
Ciebie; przywykły tylko kochać i szanować
Tłumiąc żal w sercu mojem, który mię przenikał,
Niespokojny, wejrzeniam twojego unikał,

Dziś jedno twoje słowo spokojność mi wraca,
Tyle frasunków jeden rzut oka zapłaca.
Ach! gdy w sercu niezgasły cnotliwe płomienie,
Łatwo się wraca ufność, łatwe pogodzenie;
Zbrodzień, który podstępów śmiał takich się ważyć,
Który śmiał moję miłość, twą sławę znieważyć,
We krwi swej chyba zmyje urazy nieznośne.

Teresa.

Nieposzukuj twej krzywdy przez kroki zbyt głośne;
Serce moje napełnią niepokojem, trwogą,
O prędszą jeszcze zgubę przyprawić nas mogą:
Wierz mi, człowiek ten próżny, zepsuty i hardy,
Nie zemsty, ale raczej godzien jest pogardy.
Co razem nieszczęśliwsza, z ojcem moim zmownie
Macocha rękę moję dała nieodzownie;
W tym okropnym przymusie jak sobie poradzę?
Lub posłuszeństwo, lub też miłość moją zdradzę.

Walery.

Miłość z nami Tereso! ta niech koi trwogę;
Mogąż rodziców twoich zakazy, zbyt srogie,
Przymuszać, byś niecnocie oddała twą rękę?
Dłużej znosić niemogąc tak okropną mękę
Pójdę do ojca twego z mojemi prożbami,
Pójdę, i u nóg jego wyznam mu ze łzami
Mój stan i moją miłość i me niepokoje;
Powiem, że ciebie kocham, żeś ty bóztwo moje,
Że serca, myśli moich, tyś panią jedyną;
Że nieszczęścia naszego stanie się przyczyną,
Jeźli trwać dłużej będzie w swojej surowości —
A jeźli serce jego przystępne litości,
Oddali od obojga ten cios tak głęboki,
Zmiękczy się na me prożby, cofnie swe wyroki.

Teresa.

Bodajbyś mógł go zmiękczyć i mógł go uprosić,
Tyś stalszy, mężniej możesz przeciwności zonsić;
Ja pod niemi upadam, biedna i trwożliwa,
Wiem tylko, że cię kocham i, żem nieszczęśliwa.

Scena IV. *Ciż sami i podkomorzyna.*

Podkomorzyna.

Smutnemi was me dzieci kochane znajduję,
I zmartwienia waszego przyczynę zgaduję;
To i mnie równie żywo, jak i was, obchodzi.

Walery.

Ach! matko, twoja dobroć troski nasze słodzi:
Nic tobie nie jest tajne, tyś sama patrzała
Jak szczera nasza miłość z latami wzrastała;
Karmiła ją nadzieja, dziś i ta już znika.

Podkomorzyna,

Mój Walery! żal ciężki serce mi przenika;
Starosta już Teresę innemu oddaje,
Całe moje staranie dziś próżnem się staje.
Wychowując was sama z dzieciństwa oboje,
Wierzcie: najsłodsze były te nadzieje moje,
Że łącząc was w przyszłości związkami wiecznemi,
Syna i wychowankę ujrzę szczęśliwemi.
Cnotliwe w was skłonności nie były mi tajne,
Nie szłam nigdy przez drogi rodzicom zwyczajne,
Co surowością ufność w dzieciach wytępiają;
Wasze szczęście i troski mojemi się stają.
Kochany mój Walery! mam ciebie za świadka,
Najlepsza przyjaciółka była twoja matka.

Walery.

Tyś była zawsze naszą pociechą jedyną.

Teresa.

Ach! stań się dzisiaj szczęścia naszego przyczyną.
Zaklinaj ojca mego na krwi obowiązki,
Niech przynajmniej oddali te nieszczęsne związki,
Niech się dzisiaj niespełnia ten przymus tak srogi;
Ach! nie pojmujesz mojej żałości i trwogi,
Miej litość nad mym stanem.

Podkomorzyna.

Żal twój żywo czuję:
I jam niegdyś kochała i łatwo pojmuję
Tę boleść, te cierpienia, tę niepewność srogą!
Nie wiele prożby moje na twym ojcu mogą,
Ale pójdę do niego i, żalem przejęta
Powiem mu: niech na swoją powinność pamięta,
Niech wspomni, że jest ojcem, że w twojem zamęściu
Winien naprzód pamiętać o przyszłem twem szczęściu;
Nie zaś, gwałtowny wybór przywodząc do skutku,
Stać się przyczyną twego nieszczęścia i smutku.

(*podając im ręce, które Walery i Teresa całują z przejęciem*)

O me dzieci! wszak znacie czułość mą dla siebie,
Nie opuszczę was pewnie w tak smutnej potrzebie.

(*słychać za teatrem Starostę mówiącego:*)

To próżno: człek z waćpanem nigdy się niezgodzi.
Ale gdzież ten Walery?

Teresa (*ze drżeniem.*)

Ojciec mój nadchodzi.
Oddalę się i tobie poruczam mą całość.

Podkomorzyna.

Patrz jak się lęka, jaka z swym ojcem nieśmiałość!
Przykro w swych dzieciach wzbudzać uczucia podobne.

Scena V. *Podkomorzyna, Walery, podkomorzy, starosta.*

Starosta.

A, waćpaństwo tu macie kolokwia osobne!
Może przeszkadzam?

Podkomorzyna.

Owszem jesteśmy mu radzi.

Starosta (do podkomorzyny.)

Kłóciłem się z mężulkiem, i cóż to poradzi?

Podkomorzy.

Ja się na mojem zdaniu niezwykłem zasadzać,
Nawet o polityce niechciałbym już gadać.

Starosta.

Wszak, co dziś przyszło z poczty już zgadłem we wtorek.
(postrzegając Walerego.)
A jakże mi się miewa mój legislatorek!
Cóż to waćpan przedemną ustawicznie zmykasz,
Przechadzasz się w zamysłach, od ludzi unikasz?
Może jeszcze i w domu komponujesz mowy;
Cóż tam, prędkoż będziemy mieli sejm gotowy?
(z zgrozą)
Godziłoż się w tym rządzie o sukcesyi gadać?
I gorszyć jeszcze naród, i w tem się go badać?

Walery.

Naród jest panem naszym, wie, co pożyteczne,
Co dla kraju szkodliwe, a co jest bezpieczne.

Starosta.

Naród o takich rzeczach gadać nie powinien.

Walery.

Ale kiedy chce gadać, ja temu nie winien.
(do matki)
Smutne uczucia moją napełniają duszę,
Mój żal i moją rozpacz już mu odkryć muszę.

Podkomorzyna.

Wstrzymaj się; moglibyśmy rzecz całą zepsować:
Trzeba go ułagodzić, zwolna postępować.

Starosta.

Jakież on tajemnice waćpani odkrywa?
Radzę, niech się z materyą taką nieodzywa,
Bo okrutnych przypadków ja sam świadkiem byłem;
Pamiętam, gdy w Radomiu trybunał sądziłem,
Jeden panicz chcąc z światłem swem się popisywać,
Przeciw wolnym elekcyom zaczął przebąkiwać;
Właśnie to było, gdyśmy od stołu wstawali,
Jakeśmy się na niego do szabel porwali,
Nas było wielu, ledwie został się przy duszy;
Wziął przez łeb krys z piętnaście, a obydwie uszy
Ledwie mu żyd cyrulik jedwabiem pozszywał.

(*ze śmiechem*)

No! już się potem więcej nigdy nieodzywał.

Podkomorzy.

Prawda, że to był jeden sposób przekonania.

Starosta.

Ale jakże też można mieć tak dzikie zdania?
I przez sukcesyą naród chcieć jarzmem uciskać?
W tym przypadku, pytam się, co kto może zyskać?
Król dziś umrze, nazajutrz syn po nim nastaje,
Wszystko się w spokojności jak wprzódy zostaje;
Wszyscy cicho i nikt się nikomu nie skłoni.
W elekcyi każdy swego kandydata broni,
Wszyscy na koń wsiadają i podług zwyczaju
Zaraz panowie partye formują po kraju;
Ten mówi do mnie z miną rubasznie przyjemną:
„Kochany panie Pietrze, proszę bądź waść zemną!
„Między nami, tę wioskę weź niby w dzierżawę;“

Drugi, żebym był za nim, puszcza mi zastawę.
Ten daje sumę, i tak człek się zapomoże.
Prawda z tego wszystkiego przyjść do czubów może,
I tak było po śmierci Augusta wtórego:
Ci bili Sasów, owi bili Leszczyńskiego,
Palili sobie wioski; no i cóż to szkodzi?
Obce wojsko jak wkroczy, to wszystko pogodzi.
Potem amnestya: panom buławy, urzędy,
Szlachcie dadzą wójtostwa, obietnice, względy.
Niebyłoż to tak dobrze? i cóż waćpan na to?

Podkomorzy.

Mówić o tem, byłoby czasu próżną stratą,
Niech naród decyduje w zjazdach sejmikowych;
My tu zaś raczej mówmy o sprawach domowych.

Podkomorzyna.

O dzieci naszych szczęściu i postanowieniu.
Jeźli można krewnego wierzyć przyrzeczeniu,
Kiedyś staraniom naszym córkę swą powierzył,
Między oświadczeniami, z któremiś się szerzył,
Powiedziałeś: że miałbyś za największe szczęście,
Ażebyś połączone przez wczesne zamęście
Mógł oglądać te dzieci razem wychowane.
Dziś w słowie jego nową znajduję odmianę;
Nie szemrzę na nią, ani chciwa jestem zysku,
Leczbym nie rada widzieć dzieci tych w ucisku:
Kochali się z dzieciństwa, jakże bez litości
Czynisz wbrew córki swojej woli i skłonności?
Przymusem niechętnemu chcesz jej oddać rękę,
I, ojciec, własnej córce chcesz zadawać mękę.

Starosta.

Co za męka! wszak pójdzie za człeka młodego,
Człeka, co jest swym panem, człeka majętnego.

Wszedłem dawniej z waćpaństwem w niejakieś umowy;
Lecz nie na piśmie, wszak to było tylko słowy—
Naówczas ich fortuna w lepszym była stanie,
Dziś ją zmniejszyło sprawy ostatniej przegranie;
A jak się reszta między trzech synów podzieli,
Pytam się, państwo młodzi z czegożby żyć mieli?

Podkomorzy.

Ani mnie waćpan wstydzisz, ani też zasmucasz,
Kiedy mierność majątku mojego wyrzucasz;
Mierny jest, lecz za męztwo przodkom mym nadany,
Nie wydarty, ani też podłością zebrany;
Z cnotą oddam go synom; córkim jego życzył
Nie dlatego, żeby z nią syn mój krocie liczył,
Ale, żem sądził, iż z nią szczęśliwym żyć będzie.

Starosta.

U waćpana maksymy w najpierwszym są względzie;
Co u mnie, to pieniądze.

Walery.

Jeźli oto chodzi,
Ach! wiem, że się Teresa na to zemną zgodzi;
Wyrzekam się majątku, lecz żądam osoby;
Miłość, cnotliwa miłość ta poda sposoby,
Że przy zgodzie, przy pracy i przy rządzie dbałym
Będziemy szczęśliwymi przestając na małem.
Racz się waćpan dobrodziej prożbom mym nakłonić;
Niechciej, u nóg twych proszę, szczęścia mego bronić:
Poświęcę życie moje, by jej stać się godnym,
By ci dowieść, że synem nie będę odrodnym.

Starosta.

Gdybym nawet innego nie miał przedsięwzięcia,
Jakżebym mógł wziąść człeka takiego za zięcia,
Co w zdaniach swoich ze mną ustawnie jest sprzeczny?

Dobrodzieju! niepokój miałbym w domu wieczny:
Rząd nasz dawny ustawnie chciałbyś przeistaczać,
Przykłady Rzymian, Greków, Anglików przytaczać;
Na starość chciałbyś może uczyć mię tej sztuki,
Jakże się ona zowie? tej mądrej nauki,
Co to wy teraz wszyscy tak bardzo chwalicie,
Lo... gi... ki... oj, żeby tak które moje dziecię
Umieć miało logikę, zadałbym ja jemu . . . . .
A potem ciężko chybić słowu raz danemu,
Dla Szarmantckiego córka moja przyrzeczona;
Otóż z resztą kompanii nadchodzi ma żona.

Scena VI.

Ciż sami, starościna, Teresa, Szarmantcki.

Starościna.

C'est une chose bien affreuse, to rzecz niesłychana,
Wszak to Teresa sprzeczna rozkazom waćpana,
Niechce za męża chłopca najczulszego w świecie.

Starosta.

Co tam waćpani słuchasz, co dziewczyna plecie,
Ja wiem, co robię. . . właśnie wskorałbym też wiele,
Gdybym chciał jeszcze zważać na te ceregiele;
Rzecz już raz ułożona, dziś się nie odmieni,
Kawaler kończyć pragnie, indult już w kieszeni.
Ksiądz kanonik o milę, wraz się może stawić,
A tak można wesele dziś jeszcze odprawić.
(*obracając się do Szarmantckiego*)
No, zawczasu już ściskam kochanego zięcia.

Szarmantcki.

Pełen radości, pełen czułego przejęcia,
Przyjmuję wyrok zdawna odemnie życzony...
Lecz jest podobno zwyczaj, że obydwie strony. . . .
Nim je na całe życie święte złączą związki,

Wchodzą w jakieś umowy, w jakieś obowiązki;
Że się posag naznacza, intercyza pisze...
Ja o tych formalnościach nic dotąd niesłyszę,
Ślub nasz potem mógłby bydź za nieważny wzięty;
Niechcąc zaś nigdy zrywać ten związek tak święty,
Chciałbym otwarcie wiedzieć na piśmie, nie słowy,
Jak wielki będzie posag i czyli gotowy?

Starosta (*porywając się za głowę*).

Jak wielki będzie posag! ach cóż się to dzieje,
To takie waćpan sobie powziąłeś nadzieje;
Za życia chcesz mi jeszcze wydzierać majątek?
A to prześliczna miłość, to piękny początek.

(*obracając się do żony*).

I cóż waćpani na to? wszakżeś zapewniała,
Że miłość jego za cel posagu nie miała,
Że się fruktami, mlekiem karmić tylko będą,
Że w jakiejścić kabance nad rzeką osiędą.
A dobrodziejko! widzisz, nie o mleko chodzi,
Jegomość oczywiście na majątek godzi.

Starościna.

O ciel! quelle bassesse, ja jej niepojmuję,
W żadnym romansie rzecz się taka nieznajduje...
Fi donc monsieur Szarmantcki, wstyd mnie za waćpana.

Starosta (*do córki cicho*).

Bardzo dobrze robiłaś Teresiu kochana,
Żeś się niechciała wdawać z takim sowiźrzałem;
Chęć posagu pokrywał miłości zapałem,
Takiemu paniczowi nie oddam twej ręki.

Teresa (*z uczuciem*).

Ach ojcze! przyjm najczulsze serca mego dzięki,
W radość zamieniasz srogą i rozpacz i trwogę!

Starosta (*do Szarmantckiego.*)

Choć ojciec, córki mojej przymuszać nie mogę,
Wstrętu jej przełożenie żadne niezwycięża,
Przez żaden sposób niechce waćpana za męża.

Szarmantcki.

Z wstrętem walczyć nie można, z miejsc się tych oddalę,
Nie jedna rada będzie ukoić me żale.

(*na boku*)

Tu mnie nie chcą; człek inną szczęśliwą uczyni.

Starościna.

S' il a le coeur sensible, umrze na pustyni.

Walery.

(*z cicha do odchodzącego Szarmantckiego*)

Niechcę cię tu zawstydzić zdrad twoich odkryciem,
Oddaj portret Teresy, lub stracisz go z życiem.

Szarmantcki (*oddając portret*).

Weź go, nie są to rzeczy tak dla mnie łudzące,
Wszakżem ci pokazywał, mam tego tysiące.

(*odchodzi*).

Starosta (*oglądając się*).

Śliczny mi prałat, w targi chciał wchodzić o żonę,
Nie uciekło to jeszcze, co jest przewleczone.

(*do córki*)

Wiem, że cię jego strata niebardzo dotyka,
Zobaczysz, że ci znajdę ot tak frysz chłopczyka,
Nie znasz go, ani ci się można dorozumieć.

Teresa.

Ojcze! nie mogę dłużej uczuć moich tłumić,
U nóg je twych wyjawiam; szukać niepotrzeba
Tego, co mi z dzieciństwa przeznaczyły nieba;
Walery w sercu mojem wzbudził miłość tkliwą,
Z nim jednym tylko w świecie mogę bydź szczęśliwą;

Oddaj mię jemu... albo, rozpaczą przejęta,
Niechaj w posępnych murach klasztoru zamknięta
Dokonam opłakanych dni moich ostatki!
Zaklinam cię na pamięć ukochanej matki,
Tej matki, która, gdyby na stan mój patrzyła,
U nóg twoich ze łzami za mnąby prosiła!

Starosta.

Niech Walery waćpannie przestanie się marzyć,
Na co się spieszyć? może bogatszy się zdarzyć,
Lepiej mieć zawsze własny swój kawałek chleba;
Ja oświadczam, że na mnie spuszczać się nie trzeba.

Podkomorzy.

I jakże, myślą bogactw tylko zatrudniony,
Łzami nieszczęsnej córki nie jesteś zmiękczony?
O cóż chodzi? mówiłem z samego początku,
Że Walery się zrzeka posagu, majątku;
Zapisz go waćpan komu zdawać mu się będzie,
U mnie szczęście mych dzieci w najpierwszym jest względzie.

Starosta.

Wszystko to bardzo dobrze, lecz nie moja wina,
Jeźli będzie narzekać ta biedna dziewczyna.

Podkomorzyna.

Z tej strony chciej swą waćpan uspokoić trwogę,
Ujrzysz córkę szczęśliwą, zapewnić go mogę.
Znajdzie dobro ważniejsze nad wszystkie dostatki,
W mężu wzajemność, we mnie tkliwość drugiej matki.
Wierz mi: nie stadło, które wiele bogactw liczy,
Szczęśliwego pożycia doznaje słodyczy,
Niesmak w niem i niezgoda najczęściej panuje,
I ta sytość wszystkiego, co nam życie truje;
Szczęścia szukać należy w spokojnej mierności,

W tej dobranej umysłów i serca skłonności,
Kędy radość i troski razem się ponoszą,
Tam, gdzie cnoty domowe pierwszą są rozkoszą,
Kędy męża i żony najpierwsze staranie
Cnotliwe i rozsądne dzieci wychowanie;
Dzieci, co postępując przykładną koleją,
Stają się ich pociechą i kraju nadzieją!
Wierz mi: takie to szczęście dzieci nasze czeka,
Jest w twoim ręku; niech się dłużej nieodwleka.

Starościna.

Mon ange, j' étois contraire na te ich pobranie,
Mais, voyant de plus près tak czułe kochanie,
Il seroit cruel dłużej sprzeciwiać się temu;
Proszę cię, chciej już oddać córkę Waleremu.

Starosta.

I waćpani już także? to jakaś choroba,
Cóż ja pocznę, kiedy się tak wszystkim podoba?

(*na boku*)

Choć nierad, i w tem muszę mej żonie dogodzić,
Zaraz zemdleje, albo zechce się rozwodzić.

(*z żywością*)

Róbcie sobie co chcecie...

Teresa.

Więc ojcze kochany,
Zezwalasz na me szczęście.

Walery.

Jużeś przebłagany,
Pozwól, niech u nóg złożę twych najczulsze dzięki.

Starosta.

Porzuć waćpan te wszystkie wzdychania i jęki,
Żeń się, gdy takie szczęście ma się w tem znajdować,

Ja tylko będę jeden przypadek warować,
To jest: żebyś mi nigdy ni dzieci, ni żony
Nieuczył zdań, któremi sameś napełniony,
Synów wezmę do siebie, w ustroniu osiędę,
Nauk, rządu, pryncypyów sam ich uczyć będę;
Bo waćpan, jakbyś zaczął dawać im logikę,
Porobiłbyś subiekta równie, jak sam, dzikie.

Walery.

Będziemy całem życiem o to się starali;
Byśmy wszyscy łask jego godnymi się stali.

Podkomorzyna.

O! jakżem ja szczęśliwa.

Teresa.

Nieba nas połączą,
Walery! umartwienia dziś się nasze kończą.

Walery.

Tereso! szczęście moje zaledwie pojmuję.

Starościna.

Prawdziwie, że mię widok ich atandrysuje.

Scena VII. i ostatnia.

Jakób i Agatka (przychodzą).

Podkomorzyna.

Cóż tam powiesz Agatko?

Agatka.

Jabym prożbę miała
Do pani,.... ale nie wiem..... coś jestem nieśmiała,
Niech Jakób powie pani.....

Podkomorzy.

No, cóż tam Jakóbie?

Jakób.

Nie wiem, czy mam powiedzieć!...ja Agatkę lubię,
I Agatka mię lubi.

Podkomorzy.

Cóż dalej, mów szczerze.

Jakób.

Oto, gdy panicz pannę Teresę już bierze,
Niechaj nam państwo także dadzą pozwolenie,
Niechaj i ja się z moją Agatką ożenię.

Podkomorzyna.

Chceszże ty go Agatko?

Agatka.

Chcę, i proszę pani,
Ja go już dawno lubię.

Podkomorzy.

No, moi kochani!
Agatka obyczajna, tyś człowiek poczciwy,
Ja dwakroć w dniu dzisiejszym sądzę się szczęśliwy,
Że i takiej synowy pan bóg dał mi dożyć,
I razem do waszego szczęścia się przyłożyć.
Wszak wszyscy, co w obrębie mej włości mieszkacie,
Po dzieciach pierwsze miejsce w sercu mojem macie;
Słodko mi było waszym zatrudniać się stanem,
Bydź raczej waszym ojcem, aniżeli panem,
Mieć nad wami staranie chciwości dalekie,
Rozciągać nie surowość, lecz tkliwą opiekę;
Dzień dzisiejszy jest dla mnie święty i radośny,
Niechcę, ażeby obchód oznaczył go głośny,
Milej mi będzie, że ci, z których żyjem pracy,
Ztwierdzą go szczęściem swojem, poczciwi wieśniacy;
Niech ich podległość ze dniem dzisiejszym ustaje,
Ciebie i włość mą całą wolnością nadaje.

Jakób.

Panie dobry, łaskawy, pod rządy twojemi
My i rodzice nasi byli szczęśliwemi.

W dobrej i złej przygodzie z tobą razem wspólni,
Nie porzucim cię nigdy, choć będziemy wolni.

Podkomorzy.

Agatko, żona moja los twój zabezpieczy.
(*do Jakóba*)
Ja ciebie nie zapomnę.

Starosta.

Potrzebne to rzeczy!
Do czego to znów przypiąć to ich uwolnienie?
To tylko waćpan robisz dla drugich — zgorszenie;
Jak wszystko, akt ten chcecie odbyć nowomodnie,
Ja go chcę odbyć dawnym zwyczajom dogodnie,
Naprzód proszę, niech się to odprawi przy świecy,
Antał starego wina każ dobyć z piwnicy;
Niechaj moździerze huczą za każdym wiwatem,
Niech panna młoda z kumem, a pan młody z swatem,
Ukłoniwszy się wprzódy, idą w pierwszą parę;
Jak zaś dobrze zagrzeje głowę wino stare,
Jak się tylko da słyszeć kochana bandurka,
Człek choć stary — z gosposią wytnie się mazurka.

Starościna.

Vraiment! mnie się niebardzo chce bydź na tej fecie,
Wy sobie bourgeoisement tańcować będziecie,
Ja się koło północy pokażę na chwilę.

Starosta.

Ale czemuż tak późno?

Starościna.

Nie jest to w mej sile,
Nie lubię tego zgiełku i tego hałasu,
Wiesz, ce n'est pas du bon ton, przyjeżdżać zawczasu.

Podkomorzy.

To tak chlubne dla syna mego zjednoczenie,
Najczulsze serca mego dopełni życzenie,
W niem wszyscy znajdziem szczęścia naszego przyczyny;
Bodajbyśmy wraz dzieląc pomyślne godziny —
Czyniąc zaszczyt chwalebny krewnym i domowi,
Służąc, jako należy, własnemu krajowi —
Cnotliwie wszyscy w zgodzie i jedności żyli,
A na szczęście ojczyzny i dzieci patrzyli!

Biblioteka WSP Kielce
0179875